



CZARNA PERŁKA.

POWIEŚĆ

PRZEZ B. BOLESŁAWIĘ.

(CIAĞ DALSZY.)



oktor siedział po obiedzie w fotelu z książką i sygarem, rzadkiej chwili spoczynku używając na pół roztargniony jakimiś myślami, dla których często rozpoczęte rzucał czytanie, gdy służący oznajmił mu, że młody jakiś jegomość (sługa w ten sposób oznaczać był zwykł osoby, których stanu nie mógł odgadnąć) bardzo się dopraszał chwilowej rozmowy.

Domyślał się jakiegoś biednego pacyenta... Wejście Zbigniewa i spojrzenie nań nie wywiodło go z tego błędu; twarz blada, oko zgasłe potwierdziły raczej przypuszczenie. Ubiór ubogi zdradzał dolę nie bardzo szczęśliwą. Z tem większem współczuciem doktor wstał na przyjęcie biedaka, i wskazał mu krzesło. Była chwila milczenia, wśród której lekarz, nawykły do czytania w ludzkich twarzach, badał nieznanego troskliwie.

— Co panu jest? — spytał wreszcie, widząc zakłopotanie jego.

— Mnie! ah! szanowny panie — odezwał się gość — przebaczysz mi, ale ja nie przyszedłem radzić się dla siebie. Ja... muszę być zdrów. Mam do pana konsyliarza prośbę.

— Słucham, mów pan otwarcie...

— Kilka lat temu — odezwał się Zbigniew — miałem szczęście poznać w domu pani wojewodziny, u której niegdyś ojciec mój był w obowiązkach, pannę Lenorę Zara.

— A! — zawołał żywo doktor — pan ją znasz?

— I wiele jej i wojewodzinie nieboszczce wdzięcznym jestem. To wyznanie wytłumaczy mnie, dla czego ośmielam się trudzić go sprawą, która właściwie do mnie nie należy. Znam pana konsyliarza z jego szlachetnego serca; wiem, że byłeś przyjacielem wojewodziny, że litujesz się nad losem biednej sieroty... Czy wolno mi spytać pana dobrodzieja, los jej jest mu dobrze znanym czy nie?

— Zdaje mi się, że położenie jej rozumiem, i że się nie łudzę — rzekł doktor — radbym jej dopomódz i wyrwać ją z fałszywego położenia, zgubnego dla zdrowia i dla duszy... bo sprowadzającego zwątpienie; ale cóż na to poradzić, jeśli się ona przy swojej idei ręcznej pracy upiera?

— Ja, obcy choć życzliwy, młody, nie mając prawa przemówić dobitniej, a w potrzebie walczyć z nią i zwyciężyć, zapewne nicbym nie potrafił, ale pan swą powagą...

— Ale ona słuchać nie chce!

— Pana usłucha...

— Cóż myślisz, że radziłyby jej należało? — zapytał lekarz.

— Mnie się zdaje, że dla każdego człowieka powołaniem powinno być to, czemu oddał serce... ona jest namiętnie muzykalną, zna doskonale i miłuje muzykę: — dla czegożby z niej nie miała uczynić powołania.

Lekarz się uśmiechnął smętnie.

— Rada w zasadzie bardzo dobra — rzekł — ale pan jesteś młody i nie wiesz, co to życie artysty, co karyera

nauczycielki i wirtuozki. Muzyka dziś jest tak rozpowszechniona, a wydoskonalenie w niej tak pospolite, iż trudno na ten towar znaleźć kupca... a iluż to upokorzeniami okupić trzeba uznanie. Dla Lenory prawie niemożliwym jest a przynajmniej bardzo przykrem być może, w salonach, w których na stopie przyjaciółki była przyjmowaną, przyjść z teką nauczycielki. Dla niej zresztą to nic; ale ci, co ją znali dawniej, a nie znali tylko powierzchownie, zechcą ją wziąć?

— A koncerta? — spytał Zbigniew.

— Koncerta? — uśmiechnął się doktor — koncertom będą szkodzić i przeszkadzać wirtuozii współzawodnicy, a i na najświetniejsze prosić potrzeba... Chybaby poszli dla ciekawości widzenia kobiety, co padła..

— I nie zabiła się w upadku — dodał żywo Zbigniew.

— Wszystko, co pan życzliwie napomykasz o paninie Lenorze, ja myślałem, projektowałem, proponowałem jej... wszystko się okazało niepraktycznym...

— A więc to wyrok śmierci na tę istotę wyższą duchem, umysłem, wykształceniem, sercem, którą igła zabije powoli... którą sama tęsknota po utraconych artystycznych wrażeniach... powoli wyniszczy...

Przepraszam konsyliarza... wiele jestem winien paninie Lenorze z tych czasów, gdy matka moja nie miała przytulku, a ja kawałka chleba. Dziś ja i ona biedni jesteśmy, ale nas dwoje... my mniej cierpimy, chcielibyśmy spłacić dług święty... Ona od nas nie przyjmie nic... nic! Ja wiem, że największą przywacją dla niej jest pozbawienie fortepianu; lecz czy nie możnaby choć pobieżnie skłamać, aby go jej... narzucić... Jabym najął... a konsyliarz mógłbyś... być łaskaw i coś... i jakoś... i tak to obrócić, aby to nie było posądzeniem nawet, że pochodzi odemnie.

Konsyliarz spojrział na biedaka, który wcale nie wyglądał na mogącego robić podarki, i podał mu rękę wzruszony.

— Proszę pana — dodał żywo Zbigniew — ci ludzie, co jej są wszystko winni, bo wojewodzina, gdyby nie ona, byłaby z pewnością inaczej rozporządziła majątkiem, ci ludzie jej własność, nędzny fortepian, który ona tak lubiła, odebrali sierocie! czy to się godzi?

Doktor chłodno z wielką seryą odparł.

— Potrzebny był im jako sprzęt w salonie, zajmujący jego kątek nie zastawiony, a choć na nim nikt nie gra... miło się pochwalić, że to Erard... czy Pleyel...

— Nie chcę pana nudzić... ale mi idzie dla niej o fortepian... ja go znajdę, pan zmyśl, że dajesz od siebie...

— Przepraszam cię, kochany panie, ale ja ojcu umierającemu, jest temu lat trzydzieści, dałem słowo, że nigdy nawet dla dobrej pobudki nie skłamię; nie mogę złamać świętej przysięgi... ale... mogę dać sam fortepian...

Zbigniew się zafrasował.

— Proszę pana, to zupełnie co innego! możeby tak było przyjemnie odslużyć jej dobroć dla mej matki...

— Zrobisz to drugą razą.

— Zresztą — rzekł żywo Zbigniew — prawda i to, że cały mój projekt i pańska dobra wola rozbija się o nieprzewidywaną trudność... Nie ma go gdzie postawić...

Doktor rzekł lakonicznie: — Znajdzie się...

Młodzieniec chwycił jego ręce z uczuciem, ścisnął i w ramię począł całować. — A! panie nie zawiodłem się, jesteś równie dobrym jak rozumnym.

— O! o! pochtelca... pfe! — rozśmiał się stary — a widząc, że chce wyjść, zatrzymał go gwałtem.

— Gdzie matka wasza mieszka?

— Moja matka? albo...

— Wspomniałeś o matce, a bodaj i o tem, że nie bardzo zdrowa; chcę ją odwiedzić.

— Moją matkę? — powtórzył Zbigniew.

— Tak, tak, i powinszować jej pocziwego syna... Ale gdzie mieszkanie?

— Na Dziekance... ale w takim... tymczasowym, ubogim kątku...

— To nic nie szkodzi, jam więcej nawykł do kątków, niż do salonów.

Zbigniew zmuszony wybąknął numer.

— Za jednym zamachem — dodał konsyliarz — powiedz mi pan, czy sambyś mojej rady nie potrzebował? Nie bardzo mi się zdrów wydajesz...

Zbigniew się uśmiechnął... — O! proszę konsyliarza, zdrowiuteńki!

— A! no, to dobrze... podał mu rękę, rozstali się... Zbigniew pobiegł do matki... a doktor pomyślawszy wziął za kapelusze i poszedł pieszo do pani Laury...

Jesteśmy zmuszeni powiedzieć dwa słowa o pani Laurze, uprzedzając naprzód łatwowiernych czytelników, iż to imię jest tylko pseudonimem znanej bardzo w owych czasach w Warszawie osoby. Pani Laura była wdową od bardzo dawna; syna jedynaka ożeniwszy szczęśliwie i oddawszy mu majątek, sama z pensją od niego osiadła w stolicy, którą lubiła, o której mówiła zawsze, że gdzie indziej żyćby nie mogła. W lecie jeździła do wód regularnie, na zimę powracała. Zdaje się, że towarzystwo bez niej, równie jak ona bez niego byłyby się nie obeszły. Pani Laura najczynniejsze w niem stanowiła kółko. Należała do Towarzystwa dobroczynności, do Ochronek, do kwestu, do loteryi fantowych, do wszystkich zabaw i smutków, wiedziała o wszystkim, zajmowała się każdą rzeczą. Mała, ruchawa, dosyć brzydka, nie bardzo młoda, pomimo to stroiła się wykwintnie, lubiła skandaliki i ploteczki, złośliwą była nadzwyczaj, a w istocie cała jej ruchawość pochodziła z tego, że z życiem nie wiedzieć co było zrobić... a zając je czemś stało się koniecznością. Jak się nadzwyczajna pobożność godziła z wielu innymi skłonnościami, które do siedmiu grzechów głównych się kwalifikują, o tem tylko wiedział dyrektor sumienia, człowiek wyrozumiały

bardzo. Są kompensaty, które wiele grzeszków nawet głównych pozwalają puszczać płazem. Pani Laura w gruncie była dobrą, ale tylko dla dobrych i biednych, dla złych zaś i dla nadętych nieubłaganą... Tym nie okazywała litości najmniejszej... i z zajadłością ich ścigała. Między innymi hrabina Pyza, mama Alfreda, była jej bête noire. O ile kochała nieoszacowaną wojewodzinę, o tyle nienawidziła siostrę. Postępowanie z Lenorą było jej dobrze znane, ale o losie sieroty dotąd próżno dowiedzieć się usiłowała: nikt jej nie umiał powiedzieć nic nadto, że odarta ze wszystkiego w świat gdzieś poszła.

Doktor wczoraj dopiero wpadł na trop tych usposobień i postanowił zrecznie z nich korzystać, ile możności sam się nie mieszając do niczego.

Obrachował tak dobrze godzinę, że zastał panią Laurę w domu, właśnie numerującą fanty na jakąś loteryę dobroczynną. Cały stół był zarzucony niemi, a w części dywan i posadzka. Porwała się depcząc haftowane poduszki i patarafka kupami leżące, i pobiegła naprzeciw doktora, którego lubiła bardzo.

— O mój Boże, cóż za cud — zawołała z żywością, której wiek nie mógł poskromić — co za cud! wy, u mnie! Czy nie jestem chora!

Chwyliła się za bok, za głowę, poczęła śmiać, i posadziła przez roztargnienie konsyliarza na bębnie dziecinym, który spadł z wielkim hałasem na ziemię.

— A! Przepraszam... siadaj! co słyhać!

— Chyba ja panią o to spytam... bo mnie dochodzą tylko wieści o febrach i reumatyzmach, a to nie ciekawe.

— Jak to nie ciekawe? — zaśmiała się pani — ależ w głębi wszystkich febr i reumatyzmów są zawsze... utajone grzeszki ludzkie... tylko je trzeba umieć z nich dobyć...

W tejsze chwili korzystając z bytności doktora, wpakowała mu dziesięć biletów na loteryę. Doktor zapłacił je śmiejąc się i schował do kieszeni.

— Słuchaj, doktoru kochany, jesteś nieoszacowany — zawołała całując go w ramię — ale nie myśl, że mnie obalamucisz... Powiedz od razu, z czem przyszedłeś... bo że nie darmo, jak Boga kocham... ręczę... Już masz namotany jakiś dobry uczynek, do którego ja służyć będę za narzędzie. Przysięgam.

Doktor się rozśmiał, ale postanowił się nie wydać z tajemnicą.

— Widzisz pani — odrzekł — że tym razem byłabyś popełniła krzywoprzysięstwo, bom przyszedł tylko w niewinnym zamiarze rozpytania pani o... jedną biedną istotę, ku której pewnie czujesz jak ja sympatyę. Co się stało z tą sierotą, która była na wychowaniu u wojewodziny?

— Z Lenorką? z moją najdroższą Zarką? — podchwyciła rzucając się po kanapie i giestykując rękami Laura — z Lenorką? Wystaw sobie, ta Pyza nadęta i godny jej

synalek, nie puściwszy jej za trumną inaczej iść, jak ze sługami... wypędzili...

— Ale musieli jej choć wypłacić zapis wojewodziny.

— Tak! tak! dobryś! albo on głupi! zapis był nieważny... nie dostała nic, a że dziewczyna dumna, sama się go dobrowolnie zrzekła...

Doktor pokiwał głową, Laura popatrzała nań.

— Słuchaj stary — zawołała nagle — co ty mnie durzysz! co ty mnie, mnie, mnie... (uderzyła ręką w piersi) chcesz obalamucić! Ty już wiesz o niej i coś dla niej chcesz wyrobić. Mów otwarcie, bo się klnę, że mnie nie oszukasz.

Konsyliarz minę zrobił dziwną, ale ruszywszy ramionami rzekł cicho...

— Czy to prawda, że jej własny fortepian Erarda i pianino... pod jakimś pozorem skonfiskowali?

Laura rękami uderzyła rozgłośnie.

— A! to lotry! proszę ciebie! to lotry! toż ta dziewczyna bez fortepianu umrze...

— A przynajmniej śmiertelnie będzie tęsknić — szepnął konsyliarz.

— Ty wiesz, że tak jest?

— Zdaje mi się, mówią — dodał doktor.

— Ale mów do licha jasno, zawsze te tajemnice, a ja ich nie cierpię... czy tak jest?

— No, to tak jest... a pani rzecz na to zaradzić — rzekł wstając stary.

— A! czekajże, nie puszczę! czekaj... ani mi się ruszaj z miejsca, póki się nie wygadamy o tem. Wiesz gdzie się podziała Lenorka?

— Wiem, ale dałem słowo, że nie powiem.

— No, więc jest w Warszawie, o to mi szło — zawołała Laura — a ja jutro bez ciebie o tem będę wiedziała.

— Fortepian choć jeden trzeba odzyskać — rzekł konsyliarz — to okrucieństwo i grabież...

Laura zamyśliła się, spojrzała na zegarek.

— Doktorze! ty mnie znasz — poczęła zsuwając fanty — ja nie umiem czekać, nie cierpię odkładać... ja jeszcze dziś do Pyzy pojedę...

— Zmiluj się pani... ależ się namyśleć trzeba...

— Daj mi pokój! — machając rękami, jakby odpędzała, zakrzyknęła Laura — ja już wiem, co zrobię... ale sza!! Winnam ci prawdziwą wdzięczność, bo zrobić przykreść i dogryźć Pyzie i jej synkowi, to c'est un festin des Dieux!

Pocałowała tłuste paluszki swoje i podniosła je do góry.

— Fortepian! co to fortepian, a choćby i oba... gdyby im można więcej co wydrzeć...

— Ale Lenora nic w świecie od nich nie przyjmie.

— To głupia!! — szparko przerwała Laura — to jej się należało wszystko, jej! Była istotnie córką najlepszą dla staruszki, która jakkolwiek pocziwa i anielskiej do-

broci, pod koniec życia okrutnie się stała ciężką. Gdyby nie ona, straciliby majątek, gdyby nie ona, straciliby jej serce... I to wdzięczność. Ale w tej Pyzie oprócz dumy i głupstwa nic się nie mieści, a Fredek godnym jest jej synalikiem. Jedźże sobie teraz doktorze, ja mam mój plan, biorę szal, Stefusia ze mną pójdzie, oddam jej wizytę. Mieszka właśnie w dawnych apartamentach wojewodziny... to mi się doskonale składa!

— Hej! Stefko! — zawołała... Wbiegła panienska żwawa jak ona, ładna bruneteczka, i pospieszyła ku niej. Znać była nawykła do lakonicznych wyrażen swjej opiekunki...

— Szal... kapelusz... ubierz się... dwadzieścia pięć biletów... idziemy zaraz... Chustka... turecka... włóż kapelusz z woalikiem...

Doktor już się wysunął.

— Jutro ci dam znać! zobaczysz! Czy oddadzą ci kożacy grabież? tego nie wiem... ale że im dopiekę...

Ręką zakręciła jakby student mszczący się na głowie nieprzyjaciela...

— O! że dopiekę... to dopiekę...

Ścisnęła doktora za rękę.

— Ty jesteś poczciwy człowiek — rzekła prędko — kocham cię! poszłabym za ciebie i uszczęśliwiłabym cię, gdybyś chciał!

Skłonił się konsyliarz, uśmiechając.

— Nie jestem godzien.

— Filut! a żebyś miała mniej dwudziestu laty? Hej! żebyś mnie zobaczył, jak wyglądałam! Oj! skusiłbyś się...

— Patrz — poprowadziła go do portretu wiszącego na ścianie, wyobrażającego piękną brunetkę, bardzo do Stefki podobną — A co? — spytała...

— Obawiałbym się! — szepnął doktor.

Laura uderzyła go po ramieniu.

— Nicpotem jesteś! — pogroziła mu na nosie — To twoje szczęście, że serce dobre, ale filut...!!

Doktor nie był jeszcze zszedł ze schodów, gdy już pani Laura wdziała kapelusz, szal, rękawiczki, wymusztrowała Stefkę i schodziła co żywo... starając się fizyognomii nadać wyraz spokojny, co jej nigdy łatwo nie przychodziło.

W kwadrans potem pytała u szwajcara, czy hrabina w domu, kazała się meldować i z pogodną, uśmiechniętą twarzą tryumfalnie weszła do złocistego salonu, w którego kącie głównym stał milczący ów Erard... Hrabina, Pyżą zwana, siedziała w fotelu z powieścią Arsena Houssaye w ręku i lornetką na nosie. Tusza nie pozwoliła jej wstać rychło, a żwawa Laura podbiegła ku niej, aby tej fatygi oszczędzić.

— Niechże kochana hrabina nie rusza się, proszę bardzo! Ja tylko na chwileczkę przerywam miły jej spoczynek i lekturę... zawsze z mymi interesikami ubogich... Znając dobre jej, szlachetne serce... przychodzę z biletami na lo-

teryą. Chère Comtesse! pani Zamojska wzięła pięćdziesiąt... to już i kochana pani choć...

— Ale wezmę ile każesz — zawołała hrabina — proszę cie...

— Ogłosim imiona dobroczynnych dam w Kurjerku i Gazecie...

— Proszę cię... to mi jedno... ale wezmę. Wiele? Pięćdziesiąt mówisz?

— Entre nous! — szepnęła na ucho Laura — gdyby kto mógł wziąć więcej, byłabym rada... bo Zamojska skąpa.

— No... to... no to... sześćdziesiąt! — wyjęknęła rumieniając się Pyża.

— Vous êtes un ange! — całując ją w ramię prędko odparła Laura — Stefcu, dawajże bilety...

Gdy panna Stefania dobywała biletów, których nie miała więcej nad dwadzieścia pięć, Laura poczęła się rozglądać po salonie.

— Jak sobie hrabina to urządziła z gustem! jak wytwornie!

— Prawda, że nie brzydko?

— Ale cudnie!

— Gdybyś widziała inne pokoje!

Hrabina usiłowała powstać, oparła się na obu poręczach, zaczerwieniła i nareszcie dzwignęła. Ot chodź, to ci pokażę.

— A! bardzo, bardzo jestem wdzięczną!

W najróżowszym humorze pani domu uśmiechnięta poprowadziła swych gości, ukazując im splendory swoich apartamentów, a nawet przytykające do nich nieskończone jeszcze pokoje Alfreda, który tymczasowo stał w hotelu... czekając aż matka mu apartament kawalerski wedle swjej myśli uzupełni. Z innych też względów hotel mu lepiej jakoś dogadzał.

W przyszłym saloniku Alfreda stał Pleyel panny Lenory.

— A cóż to to? wszak fortepianik tej sierotki Lenorki! nie musiała go mieć jak zabrać?

Hrabina się zmieszała nieco.

— Biedna dziewczyna! — dodała żywo Laura — co też to o niej i z powodu niej wyplatają!

— Cóż? cóż proszę cię!

— At! zachciałaś moja hrabino... potwarze! plotk... Ludziom tylko w to graj, żeby mieli co wziąć na języki. Okrutniem się za was ścierała... bo proszę cię, kochana hrabino... zapisy tam jakieś to naturalnie nieważne, ale wiem to doskonale, że to, co było jej własnością, oddaliście jej święcie.

— Ale do ostatniego gałganka...

— A że nie miała gdzie zabrać naraz dwóch fortepianów, nie wasza wina przecie. Dosyć, że zabrała swego Erarda... bo ten, co w salonie, oczywiście nowy. Ale są tacy źli ludzie, co przez zawiść dla was rozgadali, że

wyście jej oba fortepiany skonfiskowali! Ja się przysięgam, że to nie może być...

Hrabina z róży przeszła do koloru starego buraka... usta się jej poczęły trząść... stanęła...

— I któż to mówił? — zapytała gniewna.

— Ale u margrabiostwa pletli, komentowali, użalali się, a że wiadomo było wszystkim, iż wojewodzina jej na imieniny dała Erarda... a z pensyjki swej ona sobie sama kupiła Pleyela... więc gardłowali! Ja przysięgać chciałam, że to nie może być!

Hrabina powoli zaczynała do siebie przychodzić, westchnęła jak machina parowa przybiegając do stacyi.

— A! już to, powiadam ci, moja Lauro — nie ma nieszczyścia, jak przybędę w dom puścić! Otóż to wdzięczność potem dla familii, co ją wychowała, co ją, z pozwoleniem, z gnoju podniosła...

— Nie, to nie ona pewnie mówiła, boby kłamać nie mogła... ale źli ludzie... ale plotkarze...

— Bo to proszę cię, wszystko zazdrość tych dorobkiewiczów, co to z niczego wyszło... i radeby familie stare widzieć w nędzy. Że nam pan Bóg jakoś dopomógł, to nas prześladują, nekają, spotwarzają. Już im o fortepianach zachciało się pleść!

— Ale jakże! z tych fortepianów zrobiono całą historiją. Sierota była do tych pamiątek przywiązana, i one naturalnie dla niej w jej położeniu stanowiły wiele. I co za złośliwość, bo ja mówiłam zaraz, że to wprost niepodobieństwo!

Hrabina tylko głową i ramionami ruszała.

— Cóż to my nie jesteśmy w stanie sobie kupić, czy tam Edwarda, czy tam tego Lejela? — zawołała Pyza — to są powiadam ci — łajdaki. Ja jej dałam pozabierać klejnoty! Wiadomo przecie, że wojewodzina miała kanak brylantowy, i nigdzie go nie podziała, tylko pewnie u niej w kuferku... No! a poszła sobie nierewidowana! A pierścionków, a zegarków, a bransoletek... to tego kupy... powiadam ci... ale to są łajdaki... to zawiść! I ta marmuzelka! oj to także ziółko! — dodała hrabina.

— Ale gdzież się ona podziała? — spyła Laura.

— Albo ja tam wiem! pójdzie to z kąd przyszło... bo to z takiegogo rodu i krwi, że nic dobrego być nie mogło. Wszak powiadam ci, Alfredka bałamuciła, że gdyby inny nie on, co ma sumienie i tych amorów garderobnych nie cierpi, to byłaby pięknie wyszła...

Zasapana, zdyszana, zakaszła się hrabina i potrzebowała wrócić do fotelu. W salonie znowu Laura spojrzęła na Erarda.

— Ja bo pamiętam tego Erarda jej... wcale był inny... mniejszy...

Hrabina nie odpowiedziała nic, ale się trzęsła z oburzenia.

— Moja droga — dodała — bo ja wiem, że ty mi sprzyjasz... co więcej gadali u tych margrabiostwa?

— Ja nic nie słyszałam, oprócz fałszywej historii fortepianów, i muszę oddać sprawiedliwość przytomnym, że się niemal wszyscy oburzyli. Nikt temu naturalnie wierzyć nie chciał; bo któżby taki, jak ty hrabino, przy waszych milionach i fortunach, chciał się tam żywić takimi przywłaszczeniami...

Hrabina czerwieniła się i nie mówiła już nic.

Laura parę jeszcze razy zapuściła żądło w ranę... i poczęła się żegnać z taką czułością, uszanowaniem i przymleniem, tak prosząc kochanej hrabiny, aby się nie ruszała z fotelu, iż Pyza, mimo gniewu, rozstała się z nią wielce czule.

W połowie schodów Laura rozśmiała się do swej towarzyszki.

— Jeżeli ją dziś apopleksya nie ubije, tego starego muchomora... to będzie cud... Uważałaś jak czerwieniła się, a białe plamy jej na twarz występowały. Istny muchomór!...

W kwadrans po wyjściu Laury, napiwszy się proszków burzących, wypocząwszy, hrabina poszła po Alfreda, aby natychmiast przychodził.

Posłuszny syn, chociaż grał w lansknehta, porzucił zajęcie miłe, przyjaciół, niedopalone sygare, i pobiegł. Wchodząc do salonu, postrzegł po twarzy matki, iż ją coś wzruszyło w niedobry sposób.

— Cóż to mamie? widzę proszki!

— A! powiadam ci! nie mogę jeszcze przyjść do siebie... Była u mnie ta pocziwa Laura... bo to kobieta, która mi dobrze życzy... przychodziła znowu z jakąś loteryą dobroczynną... wyciągnęła mi kilkadziesiąt rubli...

— Czyż to mamę tak zniecierplwiło?

— Ale, gdzież tam! Słuchajże! zaczęła mi opowiadać rozmowę u margrabiostwa i plotki, które po mieście chodzą... Wystaw sobie, co zrobili! co te łajdaki zrobili za tragediją z tych dwóch fortepianów! Miałam święte prawo je zabrać! Tymczasem krzyczą na grabież, na krzywdę sieroty... że jeden był jej na imieniny darowany, a drugi ona sobie sama kupiła. Pytam z jakich pieniędzy? z tych, co wydarła u mojej siostry... Ale niech ich diabli biorą, odesłać! odesłać, choćby na ulicy postawić oba... kupić innego Edwarda... a oddać...

— Mama pozwoli powiedzieć, że jabym nie zważał na gadanie. Hermann mi mówił, że za Erarda ciocia zapłaciła mu tysiąc dwieście rubli... a za Pleyela pięć tysięcy złotych... Jabym nie oddał.

— Ale nie chcę... nie chcę... niech ją i fortepiany kaduk porwie! — przerwała hrabina. — Żebyś słyszał, co gadają... Niechcę... grabież... rabunek... sieroce mienie...

— A no, jeśli tak moja mamę, to jeszcze jej trzeba będzie i dwakroć zapłacić, żeby im gęby pozatykać...

— Ona sama się zrzekła...

— To i fortepianów tak samo...

— Nie! nie! ja na nie patrzeć nie mogę. Dziś, jutro mi je odeślij, jeśli nie ma gdzie postawić... na ulicy... na ulicy... niech wszyscy widzą... Już mam tej twojej Lenorki po póty. — Pokazała na gardło. — Dość tego!

Alfred ramionami ruszył.

— Jak mama chce — rzekł — ale jabym nie nie dał, dosyć nabrała...

— No, już mi krwi nie burz, mówiąc o tem... Ja ci ręczę, że kanak wojewodziny, co znikł... a od nieboszczki matki jeszcze słyszałam, że był siedm czy ośm tysięcy czerwonych złotych zapłacony i to jeszcze tanio...

— Pewnie, że jest u niej — zimno odezwał się Alfred — ale na miejscu mamy, mając prawo, zrobiłbym rewizyą i możnaby go odzyskać... jeżeli jeszcze nie sprzedany...

— Nie chcę i kanaka i fortepianów i nic... Krzywdę moje niech Bóg sędzi! — wdychając patetycznie zawołała hrabina.

Alfred przechadzał się po pokoju.

— Ja zawsze — rzekł po chwili — przewidywałem, co nas z tą jejmościanką czeka. Musieliśmy dyssymulować... szczedząc wojewodzinę... teraz za to pokutujemy.

Hrabina westchnęła.

— Myślisz, że ja nie próbowałam siostrę zreflektować? Ale to było zaślepienie, to były czary, że mnie nieraz grzeszne myśli przychodziły... Trzęsła się, słysząc ją nadchodzącą... żyć bez niej nie mogła, a pochlebnie jak pies u nóg jej leżała... i nazywała tylko matusiu! mateczko! mamó! bo inaczej nie było wolno... i ty pod koniec świadkiem ich sam byłeś nieraz. Wojewodzina oszalała... Żeby nie ten projekt małżeństwa, ręczę ci, że byłaby Julka sprowadziła, i ją wyswatała za życia... Szczęście, żeśmy się

z taktem znaleźli i tej plamy uniknęli... a drugie szczęście, że ty miałeś rozum i nie stał się skandał... bo choćbyś ty nic nie był winien, przy takich narzucaniach się... ale zawsze plełliby, żeś sierotę skrzywdził...

— Hm! — szepnął Alfred cicho — był tam ktoś inny.

— Był? proszę cię! toć trzeba o tem gadać głośno... niech ludzie wiedzą, co to za synogarliczka... — Aleś ty mi nigdy nic o tem nie wspominał...

— Nie było o czem mówić — sucho odparł Alfred.

— Któż to taki?

— Swój swego szuka... syn jakiegoś oficjalisty, którego panna niby przez litość dla matki protegowała. Wiem, że formalnie zajmowała się dokończeniem jego wychowania, że z nim wieczorami chodziła sama jedna na przeehadzki... że u wojewodziny nieustannie coś dla niego wyciągała.

— I tam... coś, myślisz, było między nimi?

— Romansik czuły... pokątny... — mówił Alfred — wszyscy o tem wiedzieli, oprócz wojewodziny, która niczego się nie domyślała, bo ją miała za świętą.

— A to żmija chyba — przerwała hrabina — wygrzana na naszym łonie... I proszę cię Alfredzie, co za nikiemny charakter, boś mi mówił, że udawała, iż się w tobie kochała, zawracała oczy, wabiła, ciągnęła, a natura cygańska ciągnęła ją do lasa!

Alfred nie mógł naprawdę potwierdzić teraz dawnych swych relacji, gdyż za życia wojewodziny Lenora tyle tylko dlań była grzeczną, ile ściśle potrzeba było, aby uspokoić wojewodzinę... Zamilkł ponuro... Hrabina zmęczona dyszała tylko. Fortepiany wyprawiono nazajutrz.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RZUT OKA

NA STOSUNKI KSIĘCIA ADAMA CZARTORYSKIEGO I MICHAŁA OGIŃSKIEGO Z CAREM ALEKSANDREM I.

I ICH ZABIEGI W CELU ODBUDOWANIA POLSKI.

Skreślił Henryk Schmitt.

(C I A G D A L S Z Y.)

Garowi było solą w oku to Księstwo Warszawskie, na którego utworzenie musiał przyzwolić po klęsce frydlandzkiej. Mimo mniemanej sympatii dla Polaków i Polski, z jaką lubił się zawsze popisywać, nie chciał się żadną miarą na to zgodzić, aby ta część Polski była przywróconą do bytu pod swém historyczno-narodowem mianem. Przenikając zaś zamiary Napoleona, drzał wielce o swój zabór. Przyjaźń więc zawarta w Tylży między nim a Napoleonem była pozorną, skoro nie było wzajemnej ufności, a każdy czekał jedynie na dogodną sposobność pognębienia

przeciwnika. W przewidywaniu możliwych w niedalekiej przyszłości zawikłań starał się car przyręcać do siebie wpływowych Polaków, a przystępny, i jeżeli chciał ujmujący nawet, jednał sobie ufność wielu. Nie zerwał téż stosunków przyjaźnych z Czartoryskim, który jako kurator bardzo gorliwie się zajmował szkołami polskimi w zaborze, i tém chętniej pragnął być na dobrej stopie z carem, aby przez to udaremniać zamachy czynowników na polski kierunek wychowania publicznego w zaborze. Prócz tego pozyskał car Michała Ogińskiego, który podczas sejmu czterole-

tniego, w powstaniu Kościuszki i w późniejszych robotach, mających na celu wywalczenie niepodległości ojczyzny, dość wybitną odegrał rolę. Poszli i inni na lep obietnic carskich, nader ponętnych dla każdego Polaka, szczególnie po tylu doznanych zawodach. Aleksander umiał też bardzo zręcznie wzniecać podejrzenie co do prawdziwych względem Polski zamiarów Napoleona, któremu zarzucał, że pragnie mieć w Polakach jedynie dogodny narzędnik. Lecz i Napoleon, który z powodu wybuchu (1808r.) powstania w Hiszpanii, zatrudniającego wielką część wojska jego, nie mógł zrywać otwarcie z carem, dokładał wszelkich starań, aby z jednej strony maskować przed nim jak najlepiej swe prawdziwe co do Polski zamiary, a z drugiej podkopywać wpływ jego na Polaków. Z tego więc względu oświadczył minister jego deputacyi z Księstwa w Bajonie, że Polacy nie umieją czekać, odsłaniają z wrodzonej niecierpliwości za nadto zamiary swe wobec Moskwy, czém kompromitują cesarza i szkodzą sprawie własnej ojczyzny. I rzeczywiście nie mógł Napoleon wówczas drażnić cara, ponieważ zajęty wojną w Hiszpanii, którą Anglia zasilala pieniędzmi, bronią, wojskiem i flotami, a przytém niepewny, jakie są usposobienia Austrii, nie chciał ściągać sobie na kark i Moskwy w dodatku. W celu utrzymania w reszcie Europy pokoju i systemu kontynentalnego, wymierzonego przeciw Anglii, spowodował Napoleon kongres w Erfurcie, który zebrał się w wrześniu i trwał do połowy października. Cesarz austriacki nie zjechał sam do Erfurtu, ale przysłał listowne upewnienie o swych pokojowych usposobieniach. Kongres ten wypadł bardziej świetnie niż korzystnie dla Napoleona.

Z Erfurtu pospieszył Napoleon wprost do Hiszpanii, a rozgromiwszy wojska hiszpańsko-angielskie, zamierzał właśnie zadać im cios stanowczy, gdy go w obozie pod Valladolid doszła wiadomość, że rząd austriacki otworzył port tryestyński Anglikom, a powstańcom hiszpańskim przyrzekł dostarczyć 100,000 karabinów. Zdawszy dalsze prowadzenie wojny w Hiszpanii na swych marszałków, odjechał Napoleon zaraz do Paryża, aby po wyczerpaniu środków dyplomatycznych zniewolić Austrią orężem do pokoju. Upor téjże sprowadził (w kwietniu 1809) wojnę. Po klęsce stanowczej (6. lipca) pod Wagram musiała Austrija przystąpić do układów o pokój, który zawarto ostatecznie 14. października w Schönbrunn pod Wiedniem. Austrija utraciła w nim Ilirye, a prócz tego musiała cały swój udział z trzeciego rozbioru Polski ustąpić Księstwu Warszawskiemu, obwód zaś tarnopolski carowi.

Aleksander, który był sprzymierzeńcem Napoleona w téj wojnie i dlatego wysłał swe wojska do zaboru austriackiego, nie udzielał mu szerzej pomocy, ale za to dokładał przy rokowaniach w Schönbrunn wszelkich starań, aby ziemie polskie z pierwszego zaboru zostały przy Austrii, i aby zniszczyć raz na zawsze nadzieje Polaków

pokładane w Napoleonie. Przed zupełnym uspokojeniem Hiszpanii nie mógł Napoleon zrywać się do nowych wojen, i dlatego musiał dogadzać życzeniom cara, który dokonawszy swego, wystosował zaraz list tryumfujący do swego ministra spraw wewnętrznych z radośnym doniesieniem, że marzenia Polaków co do odzyskania całkowitej niepodległości spełzły teraz na zawsze. List ten ogłoszono zaraz w dziennikach petersburskich, a równocześnie zaczęto układy o to, aby się Napoleon zobowiązał najformalniej, że przestając na utworzonym już Księstwie Warszawskiem, zarzuci na zawsze myśl odbudowania całej Polski. Chcąc zyskać na czasie, którego potrzebował do przeprowadzenia swych planów, udawał Napoleon, że zgadza się z żądaniami cara, a hr. Montalivet oświadczył nawet w rocznym sprawozdaniu o stanie cesarstwa w ciele prawodawczém: że cesarz nie myślał nigdy o odbudowaniu Polski, a co robił dla części zaboru austriackiego, stało się z tego wyłącznie powodu, aby ochronić od zemsty rządu austriackiego mnóstwo ludzi, którzy mu okazali tyle przychylniej wierności i poświęcenia. Car uszczęśliwiony tém wszystkiém zrzucił nagle maskę i zmienił swe względem Polaków postępowanie. Wyszły też zaraz dzikie ukazy, skazujące na surowe kary i zabór majątku każdego, kto z zaboru moskiewskiego przyjmie lub przyjął jakiegokolwiek urzędowe stanowisko w Księstwie czy to cywilne czy wojskowe. Rozporządzenia podobne zabolaly Czartoryskiego, który w częstych rozmowach wykazywał Aleksandrowi, że takiem postępowaniem musi zniechęcić Polaków ku sobie, a chąc ich oddalić od Napoleona, zapędzi ich tém pewniej w jego objęcia. Car prawil o niewdzięczności i lekkomyślności Polaków, o swych obowiązkach dla carstwa i o niepodobieństwie zrobienia czegoś dla Polski, coby nie tylko było w granicach możebności i wiodło do ich odrodzenia, ale przytém i carstwie niewątpliwie przyniosło korzyści. Książę zbijał te twierdzenia, a wytykając mu jego chwiejność własną, dowodził mu w sposób niezbity, że ani w r. 1805 ani w r. 1809 nie umiał korzystać z przyjaznego zbiegu okoliczności, a teraz upojony mniemanem na wieczne czasy umorzeniem sprawy polskiej, oświadcza się i w pismach i w czynach nieprzychylnie dla Polski. Wykazywał mu nie mniej, że brać nie powinien za złe Polakom, jeżeli pokrzywdzeni w tak bezprawny sposób używają wszelkich dróg i środków, aby odzyskać utracony byt niepodległy. Wskutek tych rozmów skłaniał się car do dania amnestyi a nawet do zrobienia czegoś dla Polski, szczególniej gdy z toku układów wyjawilo się niebawem, że Napoleon nie myśli wiązać rąk sobie żadnym zobowiązaniem się kategorycznym. Na twierdzenie zaś księcia, że powinien czy to w porozumieniu z Napoleonem czy też z własnego popędu ogłosić się królem polskim, odpowiedział Aleksander, że były to krok za przedczesny, lecz że radby coś przynajmniej

zrobić i dlatego życzy sobie, aby mu przedłożył projekt utworzenia z zaboru W. księstwa litewskiego wraz z uwagami, jak mieszkańcy przyjmą myśl podobną. Książę był teraz w największym a bardzo niemiłym kłopotcie. Nie mógł bowiem odmówić, aby cara znów nie zrazić do całego narodu, a z drugiej strony obawiał się słusznie, że popierając ten plan nowy jego łatwo można wywołać rozdwojenie a nawet walkę w obozie narodowym, gdyby część narodu zszeregowała się przy carze a druga przy Napoleonie, i obie w razie jakich zakłóceń lub wojny zwróciły przeciw sobie bratobójcze oręż. Z tego też powodu ułożył swój memoriał nader ogólnikowo, aby się wywiązać bez szkody dla sprawy z tego trudnego zadania.

VI.

Rozmowy te odbywały się w pierwszej połowie 1810 r. Gdy w tym samym czasie przybył z Paryża do Petersburga Michał Ogiński i przedłożył carowi życzenia i skargi Litwinów, wynurzał tenże najżywcze dla Polaków chęci, a Ogińskiego zamianował nawet senatorem carstwa, aby miał zawsze sposobność przedstawiania mu życzeń i zażaleń Litwinów. Oświadczenia podobne cara nie wiązały czynowników, którzy zwykłym trybem dopuszczali się najrozmaitszych nadużyć w całym zaborze. Chcąc zaś podkopać istnienie liceum krzemienieckiego, uplątali Tadeusza Czackiego w proces, a na dobitkę przeparli w Petersburgu, że przeprowadzenie tegoż poruczono gubernatorowi wołyńskiemu, który był osobistym nieprzyjacielem Czackiego. Według istniejących przepisów należało przed rozpoczęciem tej sprawy zawiadomić Czartoryskiego jako koratora naukowego okręgu wileńskiego. Dotknięty zatem, że wszystko zrobiono bez jego wiedzy, wystosował zaraz (27 listopada 1810.) list do cara, w którym prosił o dymisyą, skoro stracił zaufanie rządu jego. Na list ten odpowiedział (25 grudnia 1810) Aleksander bardzo uprzejmie, że sprawę Czackiego każe załatwić z zadowoleniem księcia, który nie powinien przecież zrywać tak nagle 15letniej przyjaźni, ale raczej wytrwać na stanowisku, zwłaszcza w chwili, gdy mogą zajść wypadki nader korzystne dla jego ojczyzny. Doniósł mu następnie pod ścisłą tajemnicą, że przewidując nieuchronność wojny z Napoleonem, postanowił wrócić do dawnych planów, dotyczących Polski, i że mając już w pogotowiu znaczne siły zbrojne, oświadczy się zaraz, byle miał pewność, że całe Księstwo przejdzie na jego stronę, wojsko zaś tegoż połączy się z jego armią, aby bez wystrzału niejako stanąć nad Odrą i wcielić w swe szeregi pułki pruskie, poczem i Niemcy przystąpią do tego związku. Żądał atoli, aby najznakomitsi mieszkańcy Księstwa zobowiązali się formalnie do takiego przejścia kraju na jego stronę. Czartoryski wynurzył podziękę za tę ufność, lecz nie spostrzegął w planie carskim praktyczności. Dodał atoli, że gdyby warunki były dobre, a szcze-

gólnie gdyby była pewność, że cała dawna Polska, w jedno odrębne królestwo połączona, otrzyma konstytucyą z dnia 3 maja 1791., nie ulega wątpliwości, że cały naród połączyłby się z ofiarującym mu ten sposób odrodzenia. Ostrzegał przytém cara, że rzecz może się pierwój rozgłosić, zanim przyjdzie do skutku. W odpowiedzi na to przyrzekał Aleksander połączenie wszystkich dzierżaw niegdyś polskich, z wyjątkiem Białej Rusi, chciał się rozpatrzeć bliżej w ustawie rządowej z 3 maja 1791., która nie była mu znaną, a w dodatku oświadczył gotowość wystąpienia czynnego, skoro tylko będzie miał poręczenie na piśmie od najznakomitszych obywateli Księstwa. W końcu uwiadamił księcia, że francuski minister policyi ma go na oku, i że przyjazd Bignona na miejsce Serry do Warszawy nie jest dobrą wróżbą.

Że car słodniał i chłódł na przemian dla Polaków, wynikało z toku układów z Napoleonem. Ilekroć mu się zdawało, że Napoleon nie myśli rzec się zamiaru odbudowania Polski, kochał zaraz nadzwyczajnie Polaków, obiecywał wszystko i nadskakiwał im formalnie. Gdy zaś przeciwnie zabłysła mu nadzieja, że Napoleon poświęci sprawę polską, puszczał na nich czynowników swoich, a więzienia śledcze, zabory dóbr, kontrybucye, wyśłanie w głąb Moskwy lub na Sybir i inne tego rodzaju błogości rządów moskiewskich były na porządku dziennym w całym zaborze. Teraz usłodniał niezmiernie, ponieważ spostrzegł z przerażeniem, że Napoleon zbrojąc się na wielkie rozmiary, zaczął mu czynić wyrzuty o naruszenie warunków pokoju tylżyckiego, i bardzo się zbliżał do Polaków. Widział z wszystkiego, że coś się robi, ale całego pasma tych robót nie mógł przeniknąć. Otrzymał najprzód doniesienia z Paryża o pobycie tamże króla saskiego (na wiosnę 1810) i o częstych naradach jego poufnych z Napoleonem i ministrami tegoż. Przedmiotem tych narad, w najściślejszej utrzymywanych tajemnicy, było właśnie odbudowanie Polski, za czém oświadczał się sam król saski, a za Księstwo Warszawskie, które musiało wejść w skład przyszłego królestwa polskiego, żądał wynagrodzenia w Niemczech. Komu Napoleon przeznaczał koronę polską, nie wiadomo dotąd. Być może zresztą, że już wtedy nosił się z myślą przesadzenia dynastyi pruskiej na tron polski a oddania jój posiadłości niemieckich domowi saskiemu, który nigdy podobną pruskiemu nie odznaczał się ambicyą. Wprost z Paryża udał się (w maju) król saski do Księstwa Warszawskiego, a w przejeździe z Krakowa do Warszawy odwiedził w Puławach ks. Adama Czartoryskiego, byłego generała ziem podolskich i feldmarszałka austriackiego, z którym także poufne miewał narady. Wkrótce potem odwołał Napoleon rezydenta swego Serry z Warszawy, a przysłał Bignona nader przyjaźnie usposobionego dla Polaków i Polski, którego instrukcyami mieściła w sobie wyraźną zapowiedz, że cesarz w stoso-

wnęj porze przystąpi do odbudowania Polski, i że Bignon ma w tym kierunku przygotowywać patriotów polskich, a szczególnie porozumiewać się z księciem jenerałem (Czartoryskim). Widzieliśmy, że to przysłanie Bignona zaniepokoiło cara, który musiał otrzymać jakieś wskazówki z Paryża co do znaczenia tój zmiany rezydenta w Warszawie. Gdy następnie (z wiosną 1811.) stosownie do zapowiedzianego w instrukcyi Bignona opatrzenia Księstwa w broń i pieniądze nadeszło z Francyi 200 dział i 40,000 karabinów, w Paryżu zaś poczyniono kroki o pożyczkę dla Księstwa w kwocie 12,000,000 franków, nie wątpił

po długim zamieszkiwaniu w Paryżu teraz właśnie wrócił na Litwę, w sprawach zaś rodzinnych przybył do Petersburga. Uzyskawszy posłuchanie, zdał Aleksandrowi sprawę z wszystkiego, co od roku działo się w Paryżu, a z czego było widocznem, że Napoleon gotując się do wojny z Moskwą, przysłał tak wielkie zapasy broni do Księstwa. Car zgadzał się z zapatrywaniem swego senatora, a przy sposobności zaczął mówić i o Polsce. Ogiński, który nie dowierzał Napoleonowi, a na wszelki wypadek pragnął połączenia ziem polskich pod jednym rządem, wystąpił zaraz z twierdzeniem, że car powinien bezzwłocznie ogłosić



Jakaś niewiasta z dzieckiem na rękę zabiegła nam drogę... (str. 109).

już Aleksander, że się zanosi na wielką burzę, zagrażającą państwu jego. Z tego powodu zawiązał wskazaną powyżej korespondencyą z Czartoryskim. Lecz musiał ją zerwać, gdy książę żadnego nie nadesłał zobowiązania się najznakomitszych obywateli Księstwa, którzy mogli słusznie podejrzwać cara, że na to jedynie chce takiego poręczenia na piśmie, aby potem przekonywać niem Napoleona, że na wierność Polaków nie może liczyć.

W tym właśnie czasie (w kwiet. 1811.) nawinał się carowi Michał Ogiński, którego jak widzieliśmy, udostojnił przed rokiem tytułem senatora moskiewskiego, a który

się królem konstytucyjnym całej Polski, i zaręczał, że wszyscy bez wyjątku Polacy staną wtedy po jego stronie. Carowi zdawał się krok taki nie na czasie, lecz gdy oświadczył swoim zwyczajem, że chciałby coś przynajmniej uczynić dla narodu polskiego, który kocha i poważa, wystąpił pan senator z życzeniem, aby tymczasowo utworzył Wielkie Księstwo Litewskie, a tak podsuwał mu sam tę myśl, od której wykonania tak starannie uchylał się Czartoryski, aby nie spowodować rozbratu w obozie narodowym. Car słuchał przychylnie, a w końcu zażądał opracownego w tój mierze projektu. Ogiński znalazł nie-

bawem kilku innych współpracowników, gdy car poruczył z swęj strony jenerałom Armfeldowi i Wittemu, aby także ułożyli projekt podobny. Mijały atoli miesiące, i było rokowań co nie miara, lecz projekt nie wchodził w życie, chociaż podczas częstych posłuchań, udzielanych Ogińskiemu i innym, Aleksander był zawsze słodki i obiecywał wiele. Być może nawet, że brał rzecz tę na seryo i chciał coś robić dla Polski, a widząc sprzeciwianie się całego świata czynowniczego, lękał się przystąpić do wykonania. I Ogiński bowiem domagał się odrębności, unii personalnej, konstytucyi i osobnego rządu i wojska w zaborze, co wszystko było zbrodniczym zachceniem w oczach czynowników. Chociaż car nic nie zrobił przed wojną 1812 r.,

zyskał swęmi obietnicami zawsze tyle, że Ogiński, Warzecki, Lubecki, Lubomirski Marcin i mnodzy inni podjęli się apostołowania na Litwie i w reszcie zaboru, że w nim jedynie należy pokładać nadzieję ojczyzny, a niedowierzać Napoleonowi, który ludzi Polaków, aby mieć ślepe w nich narzędzie swego wszechwładstwa w Europie. Car dopiął swego, ponieważ cały prawie zabór jego uchylił się od współdziałania w walce o niepodległość ojczyzny, podjętej przez Napoleona i konfederacyą Księstwa, a wielu z panów i ziemian litewskich powynosili się w głąb Moskwy, aby tam przesiedzieć cały przeciąg tej wojny. Tem wszystkiem spowodowano w znacznej części smutny koniec wyprawy Napoleona na Moskwę. (D. n.)

OBRAZY LITEWSKIE.

WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKÓW W. POLA.

O bitwie Szawelskiej mieliśmy wielu rannych; wózki jednokonne zachodziły już na pobojowisko, i wyprawiano je już od rana traktem ku Worniom, żeby nie zawadzały na pobojowisku i nie utrudniały ruchu wojsk. Pod eskortą kilkunastu Ułanów, a nadzorem kilku lekarzy, ciągnął się ten tabór wzdłuż szlaku, i dwa a nawet trzy wózki jechały obok siebie drogą; kiedy wieczorem na dniu bitwy Szawelskiej cały korpus wojsk koronnych i litewskich w odwrocie ruszył w tę samą drogę, była droga cała zajęta toborem wózków, które rannych wiozły.

Straszna była to noc, bo na taborze rannych sparło się całe wojsko, a z rozkazem przejechać na czoło kolumny ani złamać tej zapory nie było sposobu; bagniste fosy, bagna i lasy ciągnęły się wzdłuż gościńca.

Połowę drogi chciano przynajmniej uzyskać dla wojska, ale po jednej stronie wywracały się wózki do fos, a po drugiej stronie usuwali się co chwila ludzie i konie z grobli wpadając do rowów i z mostków; jęk rannych, huk komendy, która nagliła do marszu po drodze, do pochodu wojska nie zdolnej, rozkazy adjutantów i posyłek, które się przedzierały co chwila na czoło kolumny, do tego noc ciemna i dészcz słotny, który nas już blisko Worni dosięgnął: to wszystko razem wprawiało cały korpus w jakąś rozpacz — zwłaszcza, że to było po nieszczęsnej bitwie pod Szawłami.

Tak przebyliśmy noc; co chwila zatrzymywał się pochód wojska i pochód taboru z rannymi, bo wózki łamały się często w tej drodze i tamowały cały marsz, a kolumna byle ślanęła na chwilę, to w piechocie padał tam każdy gdzie stał, a konnica leciała z koni albo spała na koniu, i każdą trójkę trzeba było budzić z osobna do dalszego marszu; nawet w marszu spała piechota i co

chwila słyhać było, że pada karabin na ziemię. Było tedy niemało jęku i złości, obrazy boskiej i zniewagi człowieka.

„Dobij! dobij!“ krzyczał ciężko ranny, gdy się pod nim złamał wózek; wtedy wypręgał chłop konia z podwoły, ścigał go z grabki, a wydobywszy się z fosy lub bagna, siadał na koń i uciekał w gąszcze, zostawiwszy z rannym rozłamany wózek na drodze.

Inny znów ranny wołał: „Nie porzucajcie mnie! ratunku, księdza, nie dajcie mi ginąć bez Boga“. Ale kto mógł dać tu ratunek! gdzie szukać księdza? jaką dać tu radę? Inny wołał znowu straszliwym głosem: „Wody! wody! bo konam!“ Wiarus, co się ulitował nad nim, nie miał w czem podać wody, więc mu podał manierkę z wódką; napił się i skonał, a zmarłego wraz z wózkiem, koniem i woźnicą zrzucano z grobli do rowu, aby nie zajmował drogi.

Mój miły Boże! dreszcz po mnie nieraz przechodzi, gdy słyżę nie wywarzonych młokosów, nie życzących niczego dla siebie i dla narodu jak tylko wojny.

◀ Mnie nie dawały spać przez wiele lat głosy i obrazy owęj strasznej nocy, i budziła mnie nieraz ze snu zmora wojennęj trwogi, i zrozumiałem, dlaczego mój stary wachmistrz zawsze po wieczornym pacierzu odmawiał krótką modlitwę żołnierską, którą i mnie odmawiać radził, i której się od niego nauczyłem:

„Od więzienia, od niewoli, od ran, od kalectwa, od choroby, od nienawiści bliźnich, od trwogi wojennej i śmierci haniebnej zachowaj nas Panie! a nadewszystko od krwi Twojęj zatracenia, co daj Boże — Amen“.

◀ Czy cisną mi się dzisiaj jeszcze na wspomnienie tej nocy do oczu i tych żałości, które wówczas przez serca

przeszły, bo na nieszczęście była mnie komenda tych rannych oddana.

Dzień zrobił się w końcu — cóż to za boży poseł, dzień po takiej nocy! Z dniem wstąpiła na nowo nadzieja do serca, lubo straszno było spojrzeć w koło siebie.

Wszystkie złości i zniewagi adjutantów i posyłek opierały się przez noc całą o mnie, bo już ciż każdy to zrozumiał, że tabor z rannymi jest przeszkodą do porządnego pochodu wojska, i co chwila wrzeszczał ktoś: „Gdzie komendant ambulansów? gdzie komendant transportu rannych?“ Przeleciał lub otarł się o mnie, wymyślając i łącząc rannych i całą komendę, a jam się nie odezwał nawet, bo każdy wysłaniec pohamował się sam w swoim gniewie, trącając co chwila o zawody miejscowe, które tamowały marsz i pojedynczemu nawet człowiekowi na dobrym koniu nie dozwalały się przedrzeć na czoło kolumny.

Gdy się dzień zrobił, wstrzymano pochód całego korpusu; dowódcy pułków i szwadronów zbierali swoje komendy, bo wszystko było jak groch z kapustą zmieszane, i żołnierze różnej broni z różnych oddziałów i pułków ujrzeli się koło siebie.

Szczęściem wyszliśmy tu na suchszy poziom, i po jednej stronie zbierały się pułki i oddziały jazdy, po drugiej stronie pułki i oddziały piechoty. Zwolna dociągali marodery i pojedyncze rotę jazdy. Jenerał Sierakowski zmienił w przeciągu dwóch godzin trzy konie, przejechał po dwa razy całą kolumnę, od zadniej straży i głównego sztabu do czoła, wysłał dwa podjazdy konne na zabranie reszty maroderów, wydał wszystkim dowódczom brygad, pułków i baterii stosowne rozkazy, a cały korpus stanął znowu w szyku wojennym zebrany; po prawej stronie gościńca stała cała piechota, po lewej stronie cała jazda, i cały pułk mógł swobodnie w ściśniętej kolumnie stojąc wchodzić z kolei na drogę i zająć wskazane stanowisko; artyleria tylko, w znacznych odstępach bateria od baterii, i park zapasowej artylerii trzymał się drogi, bo stary i karny żołnierz nie wyszedł tu i w nocy z wojennego szyku.

Pomiędzy artylerią a taborem rannych była w tej chwili na ćwierć mili przeszło wolna droga; kazano popaść konie i rozdano pomiędzy żołnierzy suchary i wódkę.

Przeszło dwie godzin trwał ten odpoczynek, i miałem czas uporządkować trochę tabór z rannymi. Lżej rannych kazałem przełożyć po trzech i czterech na jeden wózek; ciężko rannym wysłano pojedyncze wózki, aby wygodnie leżeć mogli; umarłych kazałem zdjąć z wozów i złożyć na polu. W ten sposób wybraliśmy co najlepsze tylko wózki z całego taboru, zaprzęgliśmy po dwa konie do wózka koń przed koń z forysiem; ubyłoby więc wózków, a przybyło pociągowej siły, i cały tabór liczył po dwóch godzinach 140 wózków, i wyciągnięty w prostej linii w jednym

tylko szeregu po lewej stronie drogi mógł się już swobodnie poruszać, bo więcej jak trzy części drogi zostawiłem dla pochodu wojska, uprzętnawszy wszystkie rozłamane i niepotrzebne wózki z drogi.

W takim tedy szyku po popasie koni stał tabór rannych, a stary mój wachmistrz mówił do mnie: „Gdyby mi jeszcze kiedy taka komenda padła, to choć stary żołnierz jestem i nie płocho służę ojczyźnie, będę deserterował“.

◀ Cwałem pędząc ze sztabem swoim, przybył jenerał Sierakowski na czoło taboru rannych; dobre miał oko, twarz jego była bardzo ożywiona, w całej postawie wielka determinacja wojskowa.

„Kto tu komendę trzyma?“ spytał. — Zameldowałem liczbę rannych koni i ludzi, i oddałem mu raport wprawdzie ołówkiem ale porządnie spisany, przejechał obok niego wzdłuż całego taboru, i prosiłem o lekarzy lub felczerów do opatrywania rannych, bo o żywność dla nich nie trzeba było już prosić.

W pobliżu leżała wioska, i przy każdym wozie stało już kilka niewiast opatrując rannych; przyniosły białe chusty na zawinięcie ran, jadło i napój, lód na rany w koszach, owies i siano dla koni, wódkę, chleb i wędlinę dla żołnierzy.

„Za cóż to tyle wyrzekać było tej nocy na transport rannych? Wszakże droga wolna, a transport w dobrym szyku“ — rzekł jenerał do mnie.

„Noc była panie jenerale — rzekłem mu na to — i transport dał się uporządkować tylko dopiero o świcie.“

„Jak się nazywasz?“ — zapytał mnie jenerał.

Adjutant zapisał pułk i imię moje, a jenerał zwracając konia rzekł: „No bądź zdrow, przyszlę ci lekarza i rozkaz, będziesz po prawej stronie gościńca jechał z rannymi polem, droga ma być zupełnie wolną dla wojska; bądź gotów do marszu i każ zjechać z drogi całemu transportowi na pole, bo lada chwila ruszy korpus.“

Wkrótce przybyło dwóch lekarzy i trzech felczerów polowych, a w ślad ich adjutant z rozkazem, który mi wręczył na piśmie, by transport rannych jadąc polem obok gościńca i nie wjeżdżając na drogę odstawić do Rosień, gdzie główny sztab stanie kwaterą.

Z pomocą poczciwych niewiast opatrzyli lekarze i felczerzy rannych na stuczterdziestu wózkach. Wielką pomocą były te niewiasty, które miłościwie przytrzymywały rannych i podawały bieliznę, szarpie, wodę i lód. Już trzecia część może korpusu pominęła nas wzdłuż szlaku w pochodzie, kiedy lekarze dając mi instrukcję na koń siedli i do korpusu wracali.

Było to już blisko południa, gdy w końcu i nasz ruszył tabór; na czele jego jechał stary wachmistrz, przy zadniej straży jechałem ja, a dwóch felczerów trzymało się w środku kolumny, by poprawić czasem posłanie na

wózku ciężko rannemu lub przyciągnąć bandażę, które wolniały. Na każdym prawie wózku był kosz z lodem, i poczciwe niewiasty dały nam dzbanki z wodą, więc było pół biedy.

Z południa około trzeciej godziny może, zmienił się cały poziom kraju, bo najechaliśmy na podmokłe łąki i na rzekę, której brzegi bagniste były.

O kilkadziesiąt kroków od nas zajmował całą drogę korpus; baterye artylerji wstrzymały się na drodze, by dać obrok koniom, więc i ja zatrzymałem tabór z rannymi i udałem się do dowódców baterji prosząc, żeby mi ustąpili pół drogi, abym tylko mógł rzekę przebyć po moście.

Konie były już wyłożone do obroku, kiesony z owsem pootwierane, tu i owdzie gorzały na grobli już małe ogniska; pułkownik Piętka, który baterją dowodził, był w Sztapie — oficerowie przyjęli mnie bardzo uprzejmie, prosili na kieliszek starki i dobre przekąski, których nigdy przy baterji nie brak, bo w kiesionach, w których już nie ma ładunków, przechowuje artylerja najporządniej prowiantowe zapasy i ma je zawsze ze sobą pod ręką na każde zawołanie; słowem mówiąc, przyjęli mnie po koleżeńsku, odwiedzili swoich rannych artylerzystów, dali felczerom dwanaście butelek wina dla rannych, ale nie ustąpili ani mostu ani drogi, bo konie w baterji były wyprężnięte do obroku, owies ledwo zasypany, a bez rozkazu pułkownika nie mogła baterja ruszyć z miejsca przed skończeniem popasu. Strapiony tedy powróciłem do mojej komendy nie wiedząc, co począć i jak się z rannymi przez rzekę przepawić.

W tym powstał wielki ruch po jednej i po drugiej stronie mostu.

„Na koń! na koń! stawać! stawać!!!

Oddział Saperów stępował wysoki łukowy most drewniany, który przez rzekę prowadził, bo znać mu nie ufano, aby po nim pozycyjne przeszły działa bez wzmocnienia. Oddziałem Saperów komenderował porucznik Gaszyński, z którym tu zabrałem znajomość. Asystując przy robotach jego poznałem po krótkiej rozmowie, z kim sprawa, i uściskaliśmy się szczerze i pomimo zdesperowanej chwili, w jakiej się i korpus znajdował i tabór moich rannych, mówiliśmy o literaturze, o Mickiewiczu, o autorze „Agaj-Chana“, o nadziejach duchowych Polski i poetyczności chwili obecnej. On dał mi ostatnią piosnkę swoją po wstąpieniu na Litwę napisaną ołówkiem, a ja dałem mu piosnkę, którąśmy w obozie akademików wileńskich śpiewali. Po tej zamianie pieśni i uczuć rozstaliśmy się ze łzami prawie. Gaszyński oceniając położenie moje, chciał mnie i tabór rannych ratować; dałem mu tedy konia z plutonu, aby co prędzej dojechał do sztabu i razem ze starym wachmistrzem moim prosił o rozkazy dla nas.

Tymczasem ciągnęła baterja za baterją, pułk za pułkiem po grobli, a ranni moi, którzy pojowali ruch

tego wojska, znali to dobrze, że jak tylna straż korpusu przejdzie już po moście, to Kozacy napadną tabór i wytną rannych bez obrony; bo czyż było podobieństwem obronić oddziałem jednego plutonu 140 wózków rannych, stojących nad rzeką i bagnem?

Po przejściu artylerji przez most otworzyła się droga wolna na znacznej przestrzeni. Główny sztab przepędził cwałem po moście i pogonił drogą. Zajechałem drogę jenarałowi Sierakowskiemu, wskazując mu tabór rannych i położenie jego, ale on rzekł mi sucho:—„Masz rozkaz?“—„Mam“—„Więc trzymaj się rozkazu“—I popędził dalej. Kiedym do komendy powrócił, zameldował mi stary wachmistrz, że felczery dopadłszy chłopskich koni na łące, popędzili z korpusem, porwawszy jeszcze chłopom tren-dzelki od zaprzężnych koni.—Zrozumiałem tedy, co się święci, i liczyłem tylko na to, że mi Bóg nie opuści tych rannych, co pocziwą krew za ojczyznę przelali.

Walał to pospolicie na poetów, że nie praktyczni; ale Gaszyński choć poeta, wywiązał się bardzo praktycznie z danego mi przyrzeczenia.

Kiedy w rozpaczy prawie patrzę na drogę, po której nowe nadchodziły kolumny, pomknęło się od czoła tej kolumny kilku konnych żwawiej; był to pułkownik Kos, pułkownik kwatermistrzowstwa, wysoce ceniony oficer w całym korpusie, obok niego sadił podporucznik Tur oficer kwatermistrzowstwa, i Gaszyński, za nimi dojeżdżał żwawo stary nasz wachmistrz, i parę posyłek.

Niedocierające do mostu zjechali wcześniej z drogi i pędzili polem prost na nasz tabór. Zrozumiałem tedy, że Gaszyński przybywa z radą i pomocą.

Na dużym okazałym koniu siedział pułkownik; wspaniała, prześliczna postać, wejrzenie śmiałe i wyniosłe, szlachetne rysy pełne wyrazu wzbudzające zaufanie, wyraz twarzy myślącego i dzielnego człowieka, w całej postawie wielka powaga i spokój, cała pierś okryta krzyżami, małe ruchy i słowa pełne energii. Był to ten sam pułkownik Kos, który po kongresie wiedeńskim wytykał demarkacyjną linię i odgraniczył nowe Królestwo Polskie; w całym korpusie miał on wielką powagę a zaufanie bez granic u wiarusów i oficerów niższego stopnia, którzy w nim czcili rozum, odwagę i wielki charakter wojskowy.

Osadziwszy konia, który chrapami i wędzidłem robił, rozpatrzył się spokojnie w całej okolicy, a potem rzekł do mnie: „Przy kim komenda tego taboru? jaki rozkaz?“

Wręczyłem pułkownikowi rozkaz, jaki mi był dany; odczytał go, złożył i oddał mi napowrót. Stałem przed szeregiem, więc kazał mi odjechać na stronę i zapytał mię zeicha.

„Czy wiesz, jaką komendę prowadzisz? — to stracona poczta, bo zanim jeszcze korpus po moście przejdzie, będziesz tu miał Kozaków, a w przedniej straży moskiewskiej ciągnie baterja artylerji konnej.“

„Więc cóż mam czynić?” zapytałem.

„Trzebaby się przeprawić na lewą stronę drogi, dopóki korpus nasz zajmuje drogę.”—Dobyl i spojrzal na zegarek i powiada: „Byle żwawo, to może się jeszcze uda.”—Spojrzal po szeregu i skinął na starego wachmistrza: „Słuchaj no — rzekł mu — tyś stary wiarus, toś powinien być mądry; wytycz bród Ułanami, i po pod mostem niech przejdzie transport na lewe skrzydło korpusu na tamtą stronę drogi, to pod zasłoną korpusu możecie jechać i polem, ale po tej stronie drogi ani rzeki nie przejdziecie ani przeprowadzicie rannych.”

Rzeka nie była głęboką, ale bagnistą; lancami próbowali wiarusy brodu i wytyczyli mielizną bród wzdłuż rzeki po pod mostem, w jednym tylko miejscu wypadło położyć kilkanaście faszyn, ale szczęściem ciągnęli drogą Saperzy z Gaszyńskiego komendy, więc zrobili kilkanaście faszyn i przyłożyli je kamieniami w miejscu, gdzie rzeka pod mostem najgłębszą była; następnie skopali brzeg wyższy, aby się wózki z rzeki mogły dostać na suche pole, na lewy brzeg drogi, po której ciągnął korpus.

Sam pułkownik Kos wydał rozkazy Gaszyńskiemu, potem z pomocą Saperów, którzy mundury z siebie zrzucili, przeszły wózki bo brodzie rzeki przytrzymywane przez wiarusów poczciwych. Pułkownik kazał pomykać z pierwszymi wózkami, które stary wachmistrz prowadził; każdy tedy wózek, co się wyrwał już na brzeg, pomykał żwawo za drugimi, i gdy ostatni przebrnął rzekę, był już cały tabór rannych w pełnym marszu. Teraz ściągnąłem komendę moję i dziękując pułkownikowi, do czego nawet prawa nie miałem, chciałem iść za komendą moją.

„Stój!” — rzekł pułkownik, i zwracając się do porucznika Gaszyńskiego zapytał: „Czy masz rozkaz, abyś po przejściu wojska ten most spalił?”

„Nie — odpowiedział porucznik Gaszyński — nie mam żadnego rozkazu.”

„Więc ja ci go daję” — rzekł pułkownik. „Ułany z konia, i rzucić paliwo pod most, bo trzeba Saperom dopomódz, kiedy oni wam dopomogli; jak ułożycie stos, to Saperzy niech ciągną polem za taborem rannych, a pluton Ułanów niech tu zostanie przy moście i niech podpali most, jak zadnia straż korpusu po nim przejdzie. Na koniu łatwiej nam będzie ująć przed przednią strażą Moskali niż Saperom, a jak most dobrze zapłonie, to i Moskał nie głupi nacierać; dobrze i na pół dnia wstrzymać ich pogoń za sobą.” — To rzekszy, skinął ku nam ręką i puścił się za korpusem drogą.

Jak pułkownik kazał tak się wszystko stało. Przygotowaliśmy stos suchego paliwa pod obydwa głowami mostu i założyliśmy dobrze ogniska po jednej i po drugiej stronie mostu i rzeki, aby mieć żwawy ogień pod ręką. Od godziny nie było już może Gaszyńskiego, a gdy ostatni żołnierz zadniej straży przeszedł po moście, buchnął most

w płomieniach, bo ludzie z pobliskiej wioski przybyli nam na pomoc przywiózłszy kilka fur okłótów i pęków suchego łuczywa.

Gdy widział, że już płomienie cały most ogarnęły, a zdala na polu ujrzał ćmę Kozaków, ruszyłem wesoło kłusem za komendą moją. Tu spotkałem się tedy raz jeszcze z Gaszyńskim, który musiał wrócić z oddziałem Saperów na miejsce swoje do parku artylerji, i który mi jeszcze tu wielką oddał przysługę, bo się rozpytał miejscowych ludzi o drogę i dostał we wsi przewodnika.

Pokazało się tedy, iż nie było potrzeby tego, aby tabór rannych ciągnął się polem obok korpusu, bo była dobra droga prowadząca w lewo, gdzie pod zasłoną całego korpusu można się było bezpiecznie dostać do Rosień; jakoż na tej drodze ruszyliśmy dalej za wskazówką przewodnika, który był człowiekiem bardzo mądrym i znał doskonale całą okolicę.

Tu pożegnałem raz jeszcze Gaszyńskiego, który mimo zarzutu niepraktyczności, robionego poetom, podstępował dnia tego most z oddziałem swoich Saperów, po którym cały korpus przeszedł, i uratował cały tabór rannych skazany na straconą pocztę.

W najpierwszej osadzie większej zmieniliśmy wózki i konie w znacznej bardzo części, bo ludzi, którzy od trzech dni służyli, wypadało odpuścić do domu; byli tacy między nimi, którzy się odprawić nie dali i prosili się, aby rannych odstawili do Rosień, kiedy im już taka służba padła. Litość nad rannymi była tu pobudką, i rzeczywiście bez pomocy tych ludzi, którzy prowadzili wózki, byłby nie jeden ranny zginął. Trzech umarło nam w drodze; chciałem pochować zmarłych, ale Litwini okryli ich całunem drobnej choiny na wózkach i prosili, aby ich nie chować bez księdza, bo o dwie mile będzie miasteczko z kościółkiem, to tam sprawią sami im pogrzeb.

Wszędzie wychodziły do nas na drogę niewiasty, przynosząc jadło i napój dla rannych; niektóre z nich opatrywały nawet rannych, pocieszały ich i szły po mili i więcej koło wozów, przeprowadzając cały tabor od wioski do wioski. „To porządny naród” — mówił mój stary wachmistrz, i lubo nie lubiał w obozie gości i obcych ludzi, był tym razem bardzo wyrozumiałym a nawet cierpliwym. Największą biedę mieliśmy z tem, żeśmy nie mieli przy taborze ani lekarza, ani felczera nawet, a co chwila trzeba było radzić na krwiotoki i opatrywać na nowo rannych. Szczęściem, że matka nasza, opatrując chorych i rannych brała nas zawsze do pomocy, i kazała sobie przytrzymywać szarpie i bandaże; i w duchu dziękowałem jej w tej ciężkiej drodze za jej miłościwą naukę, która mi się teraz tak bardzo przydała.

Jakaś niewiasta z dzieckiem na ręku zabiegła nam drogę w małej osadzie i prosiła rannych ze łzami, aby pobłogosławili jej dziecę, następnie pobiegła napowrót do

wioski, zostawiła dziecię i przywiodła z sobą starą cygankę, która się dobrze na ranach i lekach знаła; niosła ona w koszu dużym to wszystko, co się jej potrzebnym wydało do cucenia i ratowania rannych; młoda niewiasta, co we wsi zostawiła dziecię, pomagała we wszystkim cygance, i obie odprowadziły nas aż do Rosień.)

W drodze tej przyszło się dwa razy spotkać z Kozakami, którzy niewiem jakim sposobem dostali się w kilkanaście koni aż w te strony po za linię całego naszego korpusu. Szczeniłem był i za pierwszym i za drugim razem tabór rannych pod zakryciem i zasłoną wioski; ludzie we wsi rzucili się do dragów i strzelb mówiąc, że rannych nie dadzą i że tę garstkę Kozaków sami wybiją; więc stanęli po za płotami i na kołowrocie gromadą, zabarykadowali wozami kołowrót, od kilku celnych strzałów zwinęło się z konia kilku Kozaków, a pluton Ułanów musiał objechać polem wieś całą, gdy pierzchli Kozacy, bo ludzie nie chcieli otworzyć kołowrotu, dopóki cały tabór rannych nie wyjedzie z wioski i nie będzie się znał bezpiecznym w dalszej drodze.

◀ Widok ciągi ran i krwi, jęk rannych i skwar nieba utrudził mnie bardzo.

Młodość po młodości przychodziła, i na godzinę może zdawszy komendę staremu wachmistrzowi, musiałem sam się na wózek. Stara cyganka przybiegła, dała mi wypić jakieś ciepłe ziółka, do których kilka kropel z małej fiaszeczki wpuściła, i powróciłem znowu do pierwszej siły i przytomności, tak że mogłem znów objąć komendę.

Było to w czasie strasznej pierwszej cholery, i zbliżaliśmy się do wioski, w której był kościółek; na wysokiej dzwonnicy kościoła ujrzelśmy z daleka zatkniętą czarną chorągiew śmierci; wiatr, który pociągał, rozwijał chorągiew, i cały tabór wstrzymał się na drodze.

Nie umiem opisać wrażenia tego smutnego sztandaru. Cyganka mówiła nam, że od dwóch tygodni przeszło zmiata tu cholera ludzi, że już prawie cała wieś wymarła, tylko księdza trzyma Bóg przy życiu, bo któżby opatrzył i pochował ludzi.

Zjechaliśmy tedy na boczną drogę w lewo, i przez lasy objeżdżając wioskę nałożyliśmy przeszło milę drogi. Dostawszy się napowrót na opuszczony gościniec, ujrzelśmy w niejakiem oddaleniu bardzo okazałe dworskie budynki. Pałac na gazonie i wielki park otoczony murem i przytykający aż do drogi. Na samym rogu prawie tego parku, do którego w tej chwili dojeżdżałem, wznosił się piękny belweder w kształcie ozdoby wieżyczki; wnijscie do belwederu prowadziło od strony parku, na drogę wychodziły tylko okna wieżyczki. Jakież było zadziwienie moje, gdy ujrzałem z wysokości piętrowej najprzód na sznurze duży kosz spuszczonego, a następnie człowieka co się z niebezpieczeństwem prawie życia po tym sznurze z piętra spuszczał i padł w końcu na ziemię. Był to

człowiek młody, cały świeżo w nankinie ubrany, dosyć nawet strojno; twarz przestraszona, a tak bardzo czerwone włosy kręcone na głowie, jak gdyby mu się głowa paliła; zerwał się upadłszy na ziemię, chwycił duży kosz do ręki, a przeskoczywszy przez rów rzucił się przed koniem moim na kolana.

„Bierz mię panie z sobą, jestem lekarz, mam tu w tym koszu wszystko: instrumenta, szarpie, bandażę, krople i ziółka od napadu cholery, i chcę iść z wami.“

Mieliśmy dwa konie luźne z pod Ułanów, którzy przy drugim napadzie Kozaków ranni zostali, można tedy było dać jednego pod kosz, a drugiego pod lekarza; jak się później okazało, był tylko magistrem chirurgii. Prosiłem go, żeby powstał, i pytałem, co mu grozi? „To zły Polak pan tego dworu—odpowiedział mi—od doby wiem, że tedy przechodzić będziecie, więc przygotowałem wszystko i wykradłem się z pałacu, bo chcę służyć ojczyźnie. Dajcie mi opiekę, bo nie miałbym już po co powracać. Dziedzic tego majątku boi się strasznie cholery i więzi mnie prawie od czasu powstania; ale ja tu być nie chcę i nie będę.“

„Więc siadaj pan na koń, a może jeździć na koniu nie umiesz, to siadaj na wózek.“

„O umiem jeździć na koniu, ale nie mam czapki.“

Stary nasz wachmistrz kazał mu podać konia i do był z pod czapraka własną furażerkę; prosił, żeby ją włożył na głowę, i rzekł do mnie: „A cóż, to mamy już i naszego sztabowego lekarza?“

Lekarz prosił, aby tabór nie stawał w majątku złego Polaka, a siadłszy na koń jechał na szpicy z wachmistrzem, i znał się już odtąd bezpiecznym. Opatrzył później bardzo starannie chorych z pomocą cyganki i tej młodej niewiasty, która uprosiwszy błogosławieństwa rannych dla swego dziecka, nie chciała opuścić naszego taboru.

◀ Było już dobrze po północy, gdy cała okolica zajaśniała przed nami w obozowych ogniskach, po nad rzeką rozłożonych, i gdy mi od szpicy znać dano, że dojeżdżamy do Rosień. Przed mostem i miastem stała placówka, a gdyśmy obozowego hasła nie znali, padło nawet parę wystrzałów na placówce przed szpicą. Jakiś Żmudziń, który nie umiał po polsku, został nawet lekko ranny w ramię, ale sprawa się utarła, a głos po moście od placówki podany do miasta, że to transport rannych idzie, uspokoił po chwili nocną trwogę, którą te wystrzały wzbudziły w obozie.

Wjechaliśmy na rynek miasta; cały rynek był oświetlony, we wszystkich oknach gorzały światła, wszystkie drzwi i sienie otworzone, w całym mieście gwarno i tłumnie, przed głównym odwachem grała muzyka pierwszego pułku Ułanów, w kawiarni i oberży stały wszystkie okna otworem, i ztąd dolatywały nas ochocze okrzyki wiwatów.

Cóż za zmiana dekoracyi dla nas? cóż za zmiana dekoracyi w samym mieście, w jednej chwili! Gdy się wieść rozeszła, że ranni przybyli szczęśliwie, muzyka ucichła, w kwadrat stoczyliśmy nasz tabór na rynku, i komendant placu wskazywał nam na pobocznej ulicy obszerny dziedziniec i otwartą długą szopę, którą pokotem wysłano i przygotowano na przybycie rannych.

Sto może latarek migało się tu koło całego taboru, wózki zachodziły w obszerny dziedziniec, i z kolei zdejmowano rannych z wózków, a nasz czerwony eskulap rozwinął tu całą energię charakteru, bo znał się już dobrze z rannymi i wiedział, którego nieść, a którego prowadzić potrzeba. Gdy wszyscy ranni byli już złożeni, spisałem wraz z lekarzem naszym raport przy latarni, zdałem komendę plutonu staremu wachmistrzowi, i z jednym tylko Ułanem udałem się do głównej kwatery.

Lecz jak tu odpytać Szefa Sztabu po nocy w rozbawionem i obcem mieście, gdzie dla wojska równocześnie kilka wyprawiono uczt i balów w różnych gospodach i salach? W końcu gdym ujrzał duży dom rześisto oświecony i usłyszał muzykę balową hucznie grającą na piętrze przy otwartych oknach, domyślałem się, że tu i kwaterę głównego Sztabu i Szefa Sztabu znajduję. Więc wchodzę na salę i pytam o szefa sztabu, trzymając raport w rękę; w tem rzucił mi się ktoś z boku na szyję i przycisnął mnie gwałtownie do siebie; kask spadł mi z głowy i pałasz narobił brzęku. Był to Gronostajski, profesor z Wilna, towarzysz broni naszych wypraw w puszczy, który miał mnie już za straconego, bo się dowiedział jako przyjaciel, że był komendorowany na straconą pocztę, a nie wiedział o tem, że mnie pułkownik Kos i zacy Gaszyński wraz z całym taborem rannych wybawił.

„Ty żyjesz, co ci to, takieś strasznie blady i zmieniony? Czy masz może napad cholery, albo czyś go może przeżył?“ Scena ta zwróciła uwagę całego balu na siebie.

Rannych, rannych przystawiono! Muzyka ucichła, damy, oficerowie i obywatele wypytywali mnie o rannych i drogę przebytą, a jedna z dam chwyciła ze stolika kandelabr i krzyknęła: „Chodźmy do rannych!“ Za jej przykładem poszły inne, oficerowie podali damom rękę, ja oddałem Szefowi Sztabu raport, a z pałacami świecami oficerowie i obywatele z odkrytymi głowami, a damy w balowych sukniach, tak jak w tańcu stały, wszystko to

ruszyło wielką procesją przez dwie ulice do tej szopy, gdzie rannych złożono.

Na dziwną natrafiliśmy tu scenę:

Ksiądz dysponował trzech rannych na śmierć, i przystępowali właśnie do przyjęcia Wiatyku; wszystko padło tedy na kolana, gdy się po dzwonku ozwał głos poważnego starca: „Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata“, i słowa te nabyły od owiej chwili dla mnie zupełnie nowego znaczenia, bo uczulem całą ich prawdę wobec grzechów złości i boleści świata.

Poważna cisza ogarnęła wszystkich obecnych, balowa sala zmieniła się w salę rannych, którym każdy niósł pociechę i pomoc, i dzień poczęło, a ja wracałem w towarzystwie Gronostajskiego do pułku.

„A cóż mój Wincenty?“ pytał mię Gronostajski?

„Powie ci tylko tyle—rzekłem mu—iż nie zła to szkoła to wojsko; jeżeli poezya serca wytrzyma te próby wojny, to pójdę za nią bezpiecznie; nie masz nawet wyobrażenia, com przeszedł rozstawszy się z tobą“.

Przybywszy do pułku zastałem tu starą cygankę, która do obozu odprowadziła żołnierzy; skarżyłem jej się, że mdłości mię znowu napadły, więc zgotowała mi znowu ziółek i dała jakieś krople, a gdy mi się znacznie polepszyło, kazała mi się wykapać w rzece; już w kąpieli brała mię senność. Gronostajski ułożył mię w swoim baraku, ucałował i nakrył, a cały mój mundur kazał wyprać żołnierzom, bo literalnie był krwią oblepiony.

Cóż to był za dziwny letargiczny sen po tem wysileniu moralnem i strudzeniu fizykiem! Spałem, ale słyszałem wszystko i wiedziałem o wszystkim, co się w koło mnie działo. Gdym się obudził, siedziała cyganka na mojem łożu, a Gronostajski stał nademną nachylony; zrazu niewiedziałem co się ze mną dzieje, bo jęk rannych miałem jeszcze ciągle w uszach, ale po chwili wróciła znowu elastyczność ducha i ciała, zdrów uczulem się na ciele i duszy, a ubierając się napowrót w wyprany i wysuszony mundur, pożegnałem moję lekarzkę, która wracała do domu i zapewniała, że mi nic nie będzie, byłem się posilił.

Krupnik wieczorny czekał na mnie, Gronostajski dopilnował, aby był posilnym.

I tak się zakończyła katastrofa bez katastrofy, moralna i fizyczna walka bez zasługi. Jeden tylko Gronostajski pojmował, co się ze mną i we mnie działo, i to wystarczyło dla mnie.

U W Y Ł O M U.

DRAMAT W CZTERECH AKTACH.

NAPISAŁ LEOPOLD HR. STARZEŃSKI.

OSOBY:

MARSZAŁEK.

WANDA, JEGO CÓRKA.

TERESA, OCHMISTRZYNI WANDY.

ALEKSY, WYCHOWANIEC MARSZAŁKA.

EDWARD SKALSKI.

FABIAN BORSKI.

LEKARZ.

HORPYNA, UKRAINKA.

ANTOSZKA, SŁUŻĄCA HORPYNY.

LOKAJ MARSZAŁKA.

WIEŚNIACY I WIEŚNIACZKI UKRAIŃSCY.

Rzecz dzieje się w dobrach marszałka na Ukrainie r. 1861.

AKT PIERWSZY.

(Pokój w pałacu marszałka, gustownie umeblowany, drzwi środkowe i po bokach, na lewo od widzów na przodzie sceny biurko, dalej w głębi kłęcznik.)

SCENA I.

WANDA. TERESA.

WANDA (zrywając listki stokrotki.)

Jeszcze spróbuję — tak: „Wcale nic“ — „trocha“ — „Bardzo“ — „szalenie“ i... listków nie stało!
(rzuca stokrotkę.)

TERESA.

Że twój Aleksy szczerze ciebie kocha,
To ci bez kwiatka serce powiedziało.

WANDA (nieco pomieszana.)

Alexy?

TERESA.

Jakto? — a o kimże mowa?
I któż cię inny tak obchodzić może?
Czyżby marzyła może coś twa głowa,
Nie poprzestając na ojca wyborze?

WANDA.

Ojca...

TERESA.

Alexy — to dusza szlachetna,
Z dzieciństwa prawie z tobą wychowany;
Ręczę, że jego czeka przyszłość świetna,
Chociaż właściwie jego ród nieznanym.
On jest sierotą z owych lat burzliwych,

Co tak dotknęły naszą Ukrainę;
Sybir rodziców porwał nieszczęśliwych —
Twój ojciec biedną przytulił dziecinę.
Chował go zrazu między Kozakami,
Lecz później wysłał do szkoły chłopaka;
My się dziś nieraz dziwujemy sami,
Zkąd w nim ta wiedza, umiejętność taka.

WANDA.

Gdzież jest mój ojciec?

TERESA.

Zapewne u siebie.

WANDA.

Coś niezdrów dzisiaj — jakiś cierpki, blady.

TERESA.

I nawet z rana nie przepuścił ciebie.

WANDA.

Z księdzem proboszczem miał jakieś narady.
Czy o mnie dzisiaj nie rozmawiał z tobą?

TERESA.

Ze swoją myślą głośno się wyraża,
Iż pragnie bardzo, jak najkrótszą dołą
Ciebie z Alexym widzieć u ołtarza.

WANDA.

Już?... już tak prędko?

TERESA.

Zezwoliłaś przecie...

WANDA (po krótkim namyśle.)

Prawda — niedawno jeszcze była chwila...
Serce dziewczyny — to kapryśne dziecię,
Które na łące dogania motyla:
Długo z radością za owadkiem śledzi...
W tem — kwiat spostrzeża — chwytą go do dłoni,
W barwistym kwiatku odtąd szczęście widzi,
I już motyla zaniecha pogoni.
I mnie z początku motyl stepów nęcił —
Złoty skrzydełek barwa mnie wabiła,
Na chwilę niemi w serduszkach zakręcił,
Lecz — cóżem winna, żem kwiatek zoczyła?

TERESA.

Co też ty mówisz? — A, to kara boska!
Co tobie, Wando? A! czy to się godzi?
Ratuj, cudowna Matko Poczajowska!...

WANDA.

Dość!... Ani słowa!... bo to on nadchodzi.

SCENA II.

WANDA. TERESA. ALEXY.

ALEXY

(wbiega, z książką w rękę i z bukietem).

Dzień dobry, Wando! — niosę ci stokrótki,
Com w oranżeryi zasadził w wazonku.
Wiesz, że już mamy tam i niezabudki?
Ślicznie rozkwitły przy zimowem słońku.
Ja wiem, że lubisz naszych stepów kwiatki,
Więc szklarnia łąką majową się stawia...
Wkrótce mieć będziesz konwalie, bławatki; —
Lecz... tyś je widzieć nawet nie ciekawa!
I jakiż powód?

WANDA (z pewną niechęcią.)
Mam dzisiaj ból głowy.

ALEXY.

Wyjdź na przechadzkę — tam lekarz jedyny —
Wiatr naszych stepów.

WANDA.

Nie — to ból nerwowy.

ALEXY (wskazując przez okno.)

Spojrzyj na bujne pola Ukrainy!
Patrz, jak tam Dnieper srebrnym węzłem płynie,
Śród skał granitu niby w wieczność goni
I w śnieżnych stepu oceanach ginie —
O! — taki widok każdy ból rozgoni.
Bo serce twoje — ukraińskie dziecię!
W ojczystych stepach czerpało natchnienia,
Duchem ożyło, co wieje w tym świecie,
Jak kielich kwiatu przez wiosenne tchnienia.
(Spostrzega stokrótkę, którą Wanda opuściła)
Lecz... u nóg twoich stokrótka tu leży!
Jej liść zwykł bywać wyrocznią kobiety;
Dzięki aniele, za ten dowód świeży!
Pytałaś o mnie kwiateczka wróżbity...

WANDA (pomieszana)

Nie... nie Alexy! — nie rusz tej stokrótki!

ALEXY.

Czytać w tym kwiatku tak błogo, tak rzewnie,
On wróży radość, ale nigdy smutki;
Kwiat moich stepów nie zdradzi mnie pewnie.
On słyszał moje westchnienia, wołanie,
On wie, żeś jedną gwiazdą na mem niebie;
Zawsze odpowie na twe zapytanie
Stokrótka listkiem — że ja kocham ciebie.
(Całuje jej rękę z uniesieniem.)

TERESA (na stronie.)

Biedny motylu!

WANDA.

Jakąż książkę czytasz?

ALEXY.

To towarzyska moja ukochana,
Muzy tych stepów najdroższy relikwiarz.

To dzieło wieszczą naszego Bogdana.
Mistrz to jedyny, co powiedzieć umie,
Jaką to dumkę wichry stepów dźwięczą;
Kozackie serce te głosy zrozumie,
Bo takie dumki i z kurhanów jęczą.
Ludu naszego on wiernym jest druhem,
Poznał łzę, którą płacze lud kozaczy,
Jego westchnienia uczuł wieszczym duchem,
Z bolem napisał wierz: „U nas inaczej!“
(z zapalem):
U nas inaczej! — Tu nie Wisła, Warta;
Tu fala Dniepru ruską krwią wezbrana...
Nad mogiłami stoi dziejów karta
Z napisem: Kozak znać już nie chce pana.

WANDA.

Wierz mi — podziwiam pienia Zaleskiego,
Bo kogoż spiewak stepów nie poruszy?
Lecz ty Alexy! — śród podziwu twego
Czemuż nie widzisz w nim tej polskiej duszy,
Co się odzywa: „Ach! ojczyzno lasza!
„Tyś wszechsłowiańska Królowa i nasza!“

ALEXY.

Ty nie pojmujesz mnie — o nie! z pewnością!
Czyż we mnie godzić mógłby zarzut srogi,
Bym, odszczepieniec, okrył się podłością?
W tem — bądź spokojną — mój aniele drogi!
Wszak wiesz kim jestem — jakie moje cele...
Śród tego ludu wyrosła dziecina...
Twój ojciec dla mnie uczynił tak wiele —
Dał mi oświatę — ukochał jak syna.
Oby mi kiedyś niebo dozwoliło
Krew moją całą oddać mu w podziękę
Za promień, którym w głowie rozświeciło,
Za serce ojca — i za twoją rękę.
Więc — tem dziś większy obowiązek cięży,
Świecić ludowi, z którego powstałem,
I małych przerabiać na męży,
Miłości kraju ogrzać ich zapalem.
Więc gdy poety władza mi niedana,
Bym sam uderzył w liry strunę złotą,
Teraz z pieśniami Padury, Bogdana,
Ludu ruskiego jestem Wajdelotą.
Przy teorbaniu te pieśni im spiewam
O dawnych orłach, co drzemią w mogile,
I z dziejów starych na nowo wrywam
Wieść, która tonie w zapomnienia pyle.
Takie się dumki nad tą ziemią wznoszą,
Tkwią pośród ludu — jak znak zmartwychwstania,
Bo dawnych orłów pamięć synom głoszą,
Wzywając młode orle do latania.
A matki Polski duch mym świadkiem będzie,
Żem czyste ziarno jej niósł do posiewu,
I zem je nie siał na niewdzięcznej grzędzie,
Bo wtórem wiecznym było mego spiewu:
„Bracia! zginiemy za nią skoro skinie,
„Ale śnić będziemy o swej Ukrainie.“

WANDA (patrząc przez okno)
Jakież to sanki ulicą lipową
Wprost tutaj pędzą?
TERESA.
Pewnie gość — jak wielu —
Gość nieznamy dziś rzeczą nienową;
Zjeżdża ich dosyć — Bóg wie w jakim celu.
Oj! ja przeczuwam, że coś złego będzie,
Gdy się tych gości tak wiele tu snuje —
Wpadnie — coś powie — i znów dalej jedzie...
Pewno się jakaś herezya gotuje.

WANDA
(która ciągle patrzyła przez okno).
Ach!...

TERESA.
Cóż ci Wando?

WANDA.
Nic... z okna zawiąło...

ALEXY (patrząc także przez okno).
To on przyjeżdża — wierny swemu słowu!
Że też od razu serce nie poznało!

WANDA (na stronie z radością).
To on!

ALEXY.
Mój Edward!

WANDA (na stronie)
Obaczę go znowu!

ALEXY.
Edward, towarzyszu szkolny i jedyny,
Brat uczuć moich i mojego ducha.
On z nadwiślańskiej tu przybył krainy;
Pozwól mi Wando, bym powitał druha! (wybiega).

SCENA III.

WANDA. TERESA.

TERESA.
Więc to pan Edward?

WANDA.
Tak — to on — Tereniu!

TERESA.
Czegoż się trwożysz?

WANDA.
I to cię zadziwia?
To los tak kazał; — temu rozłączeniu
Widocznie samo niebo się sprzeciwia.

TERESA.
Co to się znaczy? Ja bo nie rozumiem...

WANDA.
Pocóż mam dłużej ukrywać tę mękę?
Przed tobą dzisiaj taić się nie umiem:
Ja Alexemu winnam oddać rękę,

A Edward... Jakiż ratunek na świecie?
Już się snów moich rozprysnął ostatek...

TERESA.
Teraz pojmuję cię, kapryśne dziecię!
Alexy motyl — a Edward — ów kwiatek.

SCENA IV.

CIŻ. ALEXY.

ALEXY (do lokaja za sceną).
A Kozak Semen niechaj konia siodła!
Pojedzie z listem. (wchodzi.)

WANDA
(nieśmiało, jakby od niechcenia).
I cóż?

ALEXY.
Jedzie dalej —
Ważna go sprawa na chwilę powiodła,
Próżnom go prosił.

WANDA (na stronie).
Więc się znów oddali!

ALEXY.
Ja muszę gońca wysłać tej godziny,
Więc pozwól — Wando! (siada przy kantonku, bierze
pióro i zaczyna pisać na stronie). Jak ta młodzież płocha!...
Tak... za godzinę — w futorze Horpyny
(napisawszy list, pieczętuje) To krok stanowczy...

WANDA (do siebie).
On mnie już nie kocha!

SCENA V.

CIŻ. LOKAJ.

LOKAJ (za sceną).
To nadaremnie — mówię ci — mój panku!
Dzisiaj pan marszałek nie przyjmie nikogo.
(Wchodząc, do Alexego).

Już Kozak Semen konno czeka w ganku.

ALEXY (oddaje mu list).
List do Kamieńca, niechaj prze ostrogą
I objęczykom jak może umyka.

TERESA.
Z kim tam mówisz?

LOKAJ.
Jakiś nieznamy,
Który od chwili tam przed drzwiami czeka.

TERESA.
Niech idzie z Bogiem!

LOKAJ.
Bardzo naprzykrzony,
Pana marszałka chce widzieć koniecznie,
Bo ma do niego interesa różne.

TERESA.

Dziś takich ludzi wpuszczać niebezpiecznie.

ALEXY.

Pewnie ubogi — daj mu tę jałmużnę.

(Daje pieniądź. Lokaj odchodzi).

SCENA VI.

CIŻ. MARSZAŁEK

(wychodzi z drzwi po lewej).

WANDA

Ojciec.

ALEXY.

Marszałek.

MARSZAŁEK (zamyślony do siebie).

Skradzione!... Skradzione!...

Ksiądz rzekł: Pokuta — Bóg łaską zaświeci...

Lecz tamten uszedł... pisał mi... stracone!...

(nagle jakby ze snu obudzony, spostrzega obecnych)

Co?... kto?... wy tutaj!... to wy — moje dzieci!

Możem co wyrzekł? Córko!... co mówiłem?

WANDA.

Ja nie słyszałam.

MARSZAŁEK.

To dobrze!... nie trzeba...

Niedorzeczności takie w nocy śniłem...

Złe sny!...

WANDA.

Mój ojcze!

MARSZAŁEK (jakby nieprzytomny).

Czy to kara z nieba?

Tak — ten niepokój i ten ból trawiący...

Jam się spowiadał — i ksiądz nakazuje,

By ich połączyć...

ALEXY.

Panie! tyś cierpiący?

MARSZAŁEK.

Ja?... nie...

WANDA.

Mój ojcze! cóż ci spokój truje?

TERESA (na stronie)

To coś dziwnego! Jakieś przewidzenie!

Tak bezrozumnie patrzą jego oczy!

ALEXY (na stronie)

Gdybym go nie znał, miałbym podejrzenie,

Że robak zgryzot sumienie mu toczy.

MARSZAŁEK

(przychodząc do siebie, rozgląda się po wszystkich).

Wy tutaj?... dobrze!... Coś mi w mózgu siedzi —

Ja właśnie z wami się rozmówić miałem...

Bo wiecie?... dzisiaj byłem u spowiedzi...

Nie... nie... właściwie... nie to mówić chciałem.

WANDA.

Usiądź mój ojcze — mów, co ciebie boli?

MARSZAŁEK (siadając).

Nic mnie nie boli — tylko głowa chora —

Teraz do siebie przychodzę powoli.

TERESA (na stronie).

Bądź co bądź, trzeba posłać po doktora (Wychodzi).

SCENA VII.

CIŻ. PRÓCZ TERESY.

MARSZAŁEK

(chwyta córkę i Alexego za ręce).

Wy nie odchodźcie! Stańcie tu — wy dwoje!

Mam wam powiedzieć, co mi polecone...

Jesteś Alexy!... i ty dziecię moje!

(zapomina się)

Mów! czyś nie widział — przypadkiem — skradzione?

Ej, nie — źle mówię... Słuchajcie mnie dzieci!

Patrzcie! jam stary — dnie się moje chylą —

Chciałbym — dopokąd mi dzień boski świeci...

Tak... to ksiądz właśnie mówił mi przed chwilą...

Więc chciałbym wiele uczynić dobrego —

Chciałbym was, siebie, i ludzi ucieszyć —

Bo to potrzebne dla spokoju mego;

Chcę chwilę związku waszego przyspieszyć.

ALEXY.

Naszego związku? Jakżeś dobry panie!

MARSZAŁEK (surowo do córki).

Co? może nie chcesz? wszakżeś się skłoniła...

Czy chcesz mnie zgubić?

WANDA (na stronie)

W jakimże on stanie!

Moją odmową jegobym zabiła.

MARSZAŁEK (z trwogą).

Dla czego milczysz?

WANDA.

Spełnię twoją wolę.

ALEXY (do marszałka).

Ach! tyle łaski!... (do Wandy) Dzięki ci, aniele

Oby się kiedyś otworzyło pole

Odpłacić dobro, co dajesz w udziale.

Bo ja, sierota, bez mienia, nazwiska,

I oprócz serca nic jej dać nie mogę...

MARSZAŁEK (nagle).

Jako — bez mienia? — Czekaj! przyszłość bliska

Wszystko przemieni, rozjaśni twą drogę.

ALEXY (zdziwiony).

Jak pan rozumiesz?

MARSZAŁEK.

Ślub już za dni parę —

Tak chcę — a potem — sam się z resztą sprawię —

Wszystko wam powiem — wszystko — spełnię miarę...

A teraz dzieci! ja was błogosławię.

(Błogosławi Alexego i Wandę).

SCENA VIII.

CIŻ. LOKAJ.

GŁOS FABIANA (za sceną).

Oddaj tę kartkę — nie zechce odmówić.

MARSZAŁEK (zrywa się w przerażeniu).

Ten głos!... czym we śnie?!

LOKAJ (wchodzi).

Głos jakiś nieznan

Z Jaśnię Wielmożnym panem pragnie mówić.

(na stronie)

Dał mi trzy ruble — pewno Lach przebrany.

(głośno).

Zostawił kartkę. (Oddaje kartkę marszałkowi).

MARSZAŁEK (przeczytawszy do siebie).

To on!... (blednieje i chwije się).

WANDA.

Cóż ci, ojcze?

MARSZAŁEK (z drzeniem)

Nie... nie chcę...

WANDA.

Któż to?

MARSZAŁEK (do lokaja).

Przywołaj! tak—trzeba...

Muszę go widzieć — chociaż to zabójcze!

Sam z nim chcę zostać! O! to kara z nieba.

WANDA.

Ja cię w tym stanie opuścić nie mogę.

Cóż ci?

MARSZAŁEK.

Mnie nic... nic... Patrz! jam znów przy sile.

Idźcie już! proszę. Sam sobie pomogę...

(do lokaja).

Ten — nieznajomy może przyjść za chwilę.

(Lokaj odchodzi).

WANDA.

I któż on?

MARSZAŁEK

(z wymuszonym uśmiechem).

Nie wiem. Ot — suplikant może.

Idź... idź już córko!... idź chłopcze jedyny!

To za jałmużną... Idźcież raz!... mój Boże!

(wypycha ich ku drzwiom po prawej).

ALEXY (na stronie).

Pójdę ich czekać w futurze Horpyny.

(odchodzi z Wandą).

SCENA IX.

MARSZAŁEK (sam)

„Pokuta“ — mówił do mnie kapłan boski,

Ta jedna wyrwie z pod przemocy czarta,

Jedna przygłuszy te sumienia troski

I to przekleństwo w słowie: male parta.

Wszakżem pokutnik — grzesznik pełen skruchy —

Więc czemuż ciągle wąż pod sercem siedzi?

Ich chcę połączyć wiecznymi łańcuchy,

Jak mi nakazał to ksiądz przy spowiedzi...

Oddam to wszystko, com nabył bezprawnie...

(po namyśle).

Lecz... czy dla tego tylko drży me łono,

Że mogę stanąć przed tym światem jawnie?

Że owe straszne papiery skradziono?...

Dla tego tylko? (po chwili, z głębokim rozrzewnieniem).

Nie... Jeśli Bóg z nieba

W tej wielkiej chwili patrzy w głąb mej duszy,

Powie, że więcej bólu nie potrzeba,

I nad grzesznikiem litość go poruszy.

GŁOS FABIANA (za sceną).

Więc już wejść można?

MARSZAŁEK.

To jest głos szatana!

Rękę podnosić ku niebu daremnie;

Z nim nic żywota na zawsze splątana,

I on anioła odpędza ode mnie.

Złą część mej duszy na całopalenie

Sam chciałem oddać, gdy ofiary trzeba,

Lecz przez szatana tego straszne tchnienie

Dym mej ofiary nie wzbil się do nieba.

Trza zmąsły zebrać w tej stanowczej dobie,

W której mi piekło znów otchłań otworzy;

A teraz Boże! oddaje się tobie

Grzesznik pokutny, co się w prochu korzy.

(kłęka na kłęczniku i składa ręce do modlitwy).

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAKŁADY ZDROJOWO-KĄPIELNE W GALICYI.

III.

Swoszowice.

Dmię od Krakowa, w zachodnio-południowym kierunku, gdzie ostatnie odnogi Beskidów spłaszczając się przechodzą w rozkoszną dolinę Wisły, znajduje się tuż przy gościńcu wieś Swoszowice, słynna z bogatej kopalni siarki i swego źródła siarczanego.

Już w XVI. wieku znane były tutejsze kąpiele siarczane, czego dowodem pomnikowe dzieło polskiego lekarza

ścienny, położył trwale podwaliny do tutejszego zakładu zdrojowego. Wkrótce też ujrzał on owoce swych usiłowań, a nagrodę swej pracy i włożonego kapitału; rozbudziło się bowiem tutaj wesołe życie kąpielne, mieszkania były zawsze gośćmi przepełnione, łazienki nie starczyły na zaspokojenie żądanej ilości kąpeli. Muzyka, zebrania towarzyskie, tańce i zabawy, obok pomyślnych skutków z używania tutejszych wód, ściągały mnóstwo osób na kurację, dla odetchnienia lub dla rozrywki, a czysty zysk właściciela dochodził już wówczas rocznie do 12.000 złp.



Dom łaźiebny w Swoszowicach.

(str. 118.)

Wojciecha Oczka, wydane w Krakowie w r. 1578, pod napisem: „Ciepllice“ i wzmianka o nich w dziele Erazma Syxta: „O Cieplicach we Skle pod Lwowem“, wydanem w r. 1617 przez sławnego swego czasu radcę i lekarza miasta Lwowa, a nadewszystko słynnego dobroczyńcę dla ubogich lwowskich, którego wdzięczna pamięć przechowała się w nazwisku jednej z ulic tamtejszego grodu.

Po pierwszym podziale kraju przeszły Swoszowice w prywatne posiadanie; od r. zaś 1807 c. k. skarb państwa stał się właścicielem tutejszej kopalni siarki; przyległą zaś małą wioseczkę ze źródłem mineralnym nabył Felix Radwański, ówczesny prof. Uniwersytetu jagiellońskiego, a zbudowałszy tu w r. 1811 dom łaźiebny i go-

Tak pomyślny stan tutejszego zdrojowiska utrzymywał się do r. 1830, w którymto czasie znane powszechnie niesprzyjające okoliczności czasowe i krajowe klęski, tudzież pozostanie w tyle poza wzmagającymi się wymogami, jakich sprawiedliwie dopominały się postęp czasu, nauka i wymaganie publiczności zdrojowej, wpłynęły na ubytek gości i na zmniejszenie się dochodu, a brak opieki nad tutejszym zakładem spowodował godny pożałowania jego upadek, z którego dźwigną go i do życia napowrót powołała zawiązana w r. 1859 „Spółka zdrojowisk krajowych“, nabywszy na własność Swoszowice, a odbudowałszy z gruntu i urządziwszy tu na nowo zakład zdrojowo-kąpielny.

Po rozwiązaniu się „Spółki zdrojowisk“ Swo-

szowice wraz ze swym zakładem kąpielnym przeszły drogą kupna w r. 1867 na własność Wgo. Edwarda hr. Stadnickiego i spółki. Ufamy, iż za jego staraniem zakład tutejszy stanie się tem, do czego Opatrzność go powołała, iż mając wszelkie warunki nie tylko zapewnionego bytu, ale racjonalnego rozwoju, będzie, czem być powinien: zakładem medycznym, humanitarnym i narodowo-ekonomicznym!

Zakład swoszowicki składają obecnie następujące budynki:

a) Kształtna ośmioboczna gloryeta, stanowiąca nakrycie nad tutejszym źródłem mineralnym, ujętym w kosztowne ciosowe ocembrowanie.

b) O 10 kroków od źródła stoi nowy dom łaźiebny, (który w obrazie przedstawiamy), z 22 łaźienkami, z trzema salami do wypoczynku po kąpeli, zaopatrzony w maszynę parową i tego rodzaju pompę, których przeznaczeniem jest dostarczanie wody mineralnej i ogrzewanie tejże na kąpeli.

c) Niedaleko łaźienek jest dom mieszkalny z 35 pokojami, mający po bokach piętrowe pawilony. Zamiarem jest dzisiejszych właścicieli Swoszowic, przekształcić na nowo ten budynek, ku czemu uzdolniony inżynier pan Księżarski planu już dostarczył.

d) Bliżej gościńca wznosi się, ze wspaniałym widokiem na Kraków, dom mieszkalny zwany Pałacem, z 19 obszernymi pokojami, wygodnie umeblowanymi.

e) O 20 kroków od poprzedniego budynku jest (dopiero w r. przeszłym zbudowany) nowy dom, zwany Szwajcarką, o 17 pokojach, po nader przystępnej cenie wynajmowanych.

f) Jest tu także sala restauracyjna.

g) Są i domki prywatnych właścicieli, a mianowicie starozakonnych, z których trzy nowe na r. 1870 ukończone być mają.

W ogóle z ruiny i zupełnej zagłady wyrwała swoszowicki zakład „Spółka zdrojowisk krajowych“, nie szcędząc wkładu 140.000 złr. na jego nabycie i urządzenie, a dzisiejsi jego właściciele ze swoją inteligencją, z kapitałem i z najlepszymi swymi chęciami, rokują wspaniałą przyszłość tutejszemu zakładowi, czego z serca życzymy, wydając z całej piersi: „Szczęść Boże!“

Odkąd komisya balneologiczna, w towarzystwie naukowem krakowskiem związana, opiekuje się zdrojowiskami ojczystymi, dokładnie wiemy, jaki jest ruch i jaki postęp w naszych zakładach zdrojowych.

Dla przekonania się zatem o uczęszczaniu do Swoszowic przytaczamy, iż w r. 1859 bawiło tu osób 140, wydano zaś ogółem kąpeli siarczanych 3.597; zaś już w roku 1869 bawiło osób 977, wydano kąpeli 13.722.

Poznawszy miejscowość zakładu, poznajmy i jego wodę mineralną, której chemicznem zbadaniem zajmował

się niepożytych zasług na polu balneologii krajowej zacny nestor Teodor Torosiewicz (w r. 1840 — 43), tudzież prf. Czymbański (w r. 1859).

Jak wszystkie wody siarczane, tak i swoszowicka ma zapach sobie właściwy (hepatyczny); po zaczerpaniu do szklanki zrazu przezroczysta, w kilka minut mętnieje; z najważniejszych zaś składowych części, jakie zawiera, są: sole siarkowe, jakoto: siarkan potażowy, sodowy, litowy, wapniowy i magnowy — z węglanów: magnowy, wapniowy i żelazawy, a co najważniejsze, posiada ona wielką ilość gazu kwasu wodosiarkowego i gazu kwasu węglowego.

Woda swoszowicka jest bardzo silną wodą siarzaną, nawet do użycia wewnętrznego (do picia) przydatną, a w kąpielach arcyskuteczną być może, byle tylko sposobem ogrzewania nie była w swej mocy osłabioną, czyli mówiąc językiem naukowym, byle nie była rozłożoną. Zawiera ona w 1 funcie wody gazu kwasu siarkowodowego 1.5616 cali sześciennych.

Porównawszy wodę swoszowicką z najślawniejszymi wodami siarzanymi europejskimi, jak naprzykład: z wodą badeńską, mającą gazu wodosiark. 0.7 cali sześć. w 1 fun. wody akwisgrańską „ „ „ 0.133 „ „ „ „ w Kreutzu „ „ „ 0.462 „ „ „ „ trenczyńską „ „ „ 1.64 „ „ „ „

okaże się, iż woda swoszowicka o bardzo wiele przewyższa tamte wody, ilością tego najskuteczniejszego w wodach siarczanych składnika, zawierając zaś znaczną ilość węglanu żelazawego, obok soli rozwalniających, z prawdziwą korzyścią i do picia czyli do użytku wewnętrznego zastosowaną być może; przez co potęguje się działanie i skutek jej lekarski, jaki u chorych osiągnąć zamierzamy.

Według dr. Dietla, któremu nie można odmówić arcytrafnego poglądu na nasze źródła lekarskie, redukując objętość sześcienną gazu kwasu wodosiarkowego na grana, jaka się w najznakomitszych zdrojach siarczanych europejskich znajduje, okazuje się, iż

w 1 funcie wody siar. swosz. jest tego pierwiastku	$\frac{15}{20}$ gr.
„ „ „ „ w Lubieniu	„ $\frac{18}{20}$ „
„ „ „ „ w Neudorf	„ $\frac{6}{20}$ „
„ „ „ „ w Weibbach	„ $\frac{1}{2}$ „
„ „ „ „ w Akwizgranie	„ $\frac{1}{30}$ „

Z tego jawnie się pokazuje, iż źródło swoszowickie po Lubieniu winien być policzonym do najznakomitszych ze wszystkich dotąd znajomych zimnych źródeł siarczanych, tak jak w ogóle źródła siarczane galicyjskie, po jeziorach siarczanych (solfatara), niezawodnie pierwsze miejsce zajmują między wodami siarzanymi całej Europy.

O ile zatem gazowi siarkowodowemu przyznajemy pewne a niezaprzeczone skutki, o tyle też źródło swoszowickie do najsilniejszych w swym rodzaju policzonym być musi.

Tymto składowym swym częściom zawdzięcza źródło swoszowickie udowodnione swe skutki lekarskie, i swą sławę szeroko w kraju rozpowszechnioną.

Do chorób, bardzo pomyślnie wodami swoszowickimi uleczalnych, liczymy:

1) Gościec (reumatyzm) tak w powłokach powszechnych tj. w skórze, jak i w mięśniach rozpłaty. Długoletnie doświadczenia stwierdziły, iż cierpienie to, nabyte skutkiem wilgotnego mieszkania, lub gwałtownego zaziębienia, daleko pewniej i prędzej, w Swoszowicach aniżeli gdzie indziej wyleczonem bywa.

2) Dnę czyli artritis, o ile nie ma jeszcze twardych i guzowatych obrzmień na stawach i zapalnej cechy cierpienia, wybornie leczy źródło swoszowickie. Gdyby wreszcie obok kąpiei waniennych swoszowickich używano tu i odpowiednich do picia wód przeciw temu cierpieniu, gdyby obok waniennych swoszowickich zaprowadzono tu kąpiele mułowe, lub dodawano do tamtych innych potrzebnych środków lekarskich, jak: soli kuchennej, żółw słonych, gdyby zaprowadzono tu kąpiel parową, wówczas skuteczność źródła swoszowickiego w dniu jeszcze byłaby znamienitszą.

3) W wielu zadawnionych i otrętwiałych wyrzutach skórnych i we wrzodach okazały Swoszowice wyborną swoją skuteczność.

4) Żołą, czyli choroba skrofaliczna, dadzą się również bardzo prędko i skutecznie w Swoszowicach wyleczyć. Gdzież nasze dzieci, żołąmi dotknięte, mogą znaleźć łatwiej i bezpieczniej pomieszczenie, jak nie na ojczystej ziemi w Swoszowicach, w pobliżu głównego miasta, bitego gościńca i kolei żelaznej, a w tak zdrowej i tak uroczej okolicy!

5) Bole nerwowe, przedewszystkiem ból kulszowy, gośćcowy, i porażenia gośćcowe (paraliż), pomyślnie tutaj leczone być mogą.

Dodajmy do tych błogosławionych skutków źródła swoszowickiego uroczę położenie tutejszej miejscowości, bliskość europejskiej sieci dróg żelaznych i starożytnego Krakowa, nadzwyczaj łatwą komunikacją, a przyznamy, iż Swoszowice powołała sama Opatrzność, aby nas wybawiała z wielu dolegliwości i uporeczywych cierpień fizycznych, aby się stały miejscem leczniczym, które żadnemu z europejskich tego rodzaju zdrojowisk pierwszeństwa ustępować nie powinno.

O przyjemności miejscowe w zdrojowisku tutejszem nie powinno być trudno. Znajdziemy je łatwo w bliskości Krakowa, w roskosznych wycieczkach i pysznych widokach na wszystkie strony. Miejscowe kopalnie siarki, których roczna produkcja do 15000 ctn. dochodzi, mogą zająć uwagę; bliskość cudów podziemnej natury w Wieliczce, wreszcie wycieczki na wszystkie strony świata za nadto dostarczyć mogą zajęcia dla myślącego.

Dzisiaj (1869 r.) przedewszystkiem, gdy W. Edward hr. Stadnicki jest posiadaczem tutejszego zakładu kąpielnego, nie płonną mamy nadzieję, iż Swoszowicom powrócą dnie zasłużonej wziętości i chwały, swobody i towarzyskiego życia, iż dzisiejszy ich dziedzic zrozumie i spełni przeznaczenie Swoszowic, tak pod względem medycznym, humanitarnym jak i narodowo-ekonomicznym!

Nie chcemy tutaj mówić, czego Swoszowicom jeszcze nie dostaje, bo światły ich właściciel sam to dobrze pojmuje i uzna potrzebę ich rozwoju, a gdzie inteligencja z kapitałem i z najlepszymi chęciami społem się schodzi, tam skutek z tego połączenia najpewniejszy.

Witamy zatem nową erę Swoszowic z prawdziwą miłością, jaką zawsze w sercu żywimy dla wszystkich spraw ojczystych; witamy ją z wiarą i nadzieją najpomyślniejszej tutejszego zakładu kąpielnego przyszłości!

Dr. M. Z.

NIHILISTA.

POWIEŚĆ

PRZEZ J. J. J.

(CIĄG DALSZY.)



Te cztery równo tygodnie po opisanej w poprzednim rozdziale naradzie, w tym samym pokoju, w którym się narada odbywała, stał na środku stolik białym obrusem nakryty, a na stoliku szypiał samowar obstawiony szklankami i różnymi naczyniami, używanymi do herbaty. Przy samowarze i szklankach kręciła się

panienka, lat około piętnastu, wyglądająca na zdjętego z płótna najznakomitszego mistrza aniółka. Anielskość jej głównie była w oczach i ustach, świecących wyrazem nieprzebranej dobroci i niezmordowanej łagodności. Często pojawiał się na nich uśmiech, który jej na jagodach dołki wyciskał i oblewał całą postać blaskiem dziwnego uroku.

Często na gładkiem jej czole, oprawionem w złote włosy, zawisała chmurka smutku, która całej jej postaci nadawała wyraz natchnieniowy. Coś w niej było lekkiego, eterycznego, niezziemskiego, poetycznego, że zdumieniem przejmował widok tej istoty niebu wykradzonej, trudniącej się nalewaniem do szklanek herbaty i rozdawającej je osobom przy stole siedzącym.

Przy stole siedziało tylko troje ludzi. Pierwsze miejsce zajmowała pani Zawiejska. Od pierwszego na nią okarzutę poznać można było, że była ona matką panienki herbatę nalewającej. Wiek starł z niej uroki piękności dziewczycy, ale zetrzeć nie potrafił z jej twarzy wyrazu dobroci i łagodności. W oczach miała troskę, którą napróżno ukryć usiłowała.

Obok pani, z jednej strony, siedział ksiądz prawosławny, człowiek lat około czterdziestu, czerstwy i krzepki; z drugiej pan Piotr. Popijając powoli herbatę, rozmawiali.

— Bogu dzięki — mówił ksiądz czysto po polsku — temnik gotów.

— Mieliście, księżę proboszczu, pracy nie mało — odrzekła pani.

— Z ziemią było trochę kłopotu, bo trzeba ją było daleko odwozić, ażeby śladów świeżego kopania nie zostawić... Ale... już się to przecie skończyło... Wykopaliśmy, ocembrowali, zagładzili i — tu się uśmiechnął i brodę pogładził — będzie tam pszczołom jak u pana Boga za drzwiami; będą tam spokojne i bezpieczne, aż przyjdzie na nie pora rojem wylecieć.

— Wyborną podaliście myśl — wtrącił pan Piotr.

Ksiądz popił herbatę i spojrzał z wyrazem samowolnienia. Snadź pochwała pana Piotra sprawiła mu przyjemność.

Po chwilce milczenia, jakie po tem nastąpiło, odezwała się pani. W głosie jej brzmiał akcent niepokoju.

— Ale czemuż już oni nie przybywają!

— Nikt jej nie na to nie odpowiedział; tylko Handzia spojrziała przelotnie na matkę i lekko westchnęła.

— Bo do czego to było posyłać Konrada!

Te wyrazy wyrzeczone były tonem wymówki. Wymówka ta stosowała się do pana Piotra, który odchrząknął.

— Pani dobrodziejko — odezwał się ksiądz — bez woli bożej człowiekowi włos z głowy nie spadnie...

— Prawda — odrzekła pani — ale i to także prawda, że strzeżonego Bóg strzeże.

— Czyżby go mama wstrzymywała, gdyby on poszedł się bić? — zapytała z nienacka panienka.

Pani Zawiejska pokiwała smutno głową i zwróciła uwagę na słowa księdza, który w następujący przemówił sposób:

— Niech się pani dobrodziejka nie smuci i nie obawia. Odprawiłem dziś nabożeństwo na intencję pana Konrada i mam dobre przecucie. Nie widać jak powróci zdrowi i cały.

Zaledwie ostatni wyraz zdołał wymówić, drzwi od sieni się otworzyły i we drzwiach ukazał się żyd.

— Naftuła! — jednym głosem krzyknęła matka i córka.

Ta ostatnia nie poprzestała na okrzyku. Jednym susem znalazła się obok przybysza, drogę mu zastąpiła i w oczy mu z przymileniem patrzyła.

Żyd się uśmiechał.

— Z dobrą nowiną?

— Niczego, chwalić Boga...

— Konrad?

— Ny?... cóż?... nic...

— Przybywa?

— Czemużby miał nie przybywać?

— Kiedy?... prędko?... — zapytała pani od stolika.

— Około północy, jeżeli nic nie przeszkodzi — odpowiedział żyd — ale zdaje się, nic już przeszkodzić nie powinno... Dziś właśnie spotkał nas kapitan sprawnik.

— Kapitan sprawnik! — krzyknęła pani głosem trwogi.

— Ny... wun sam...

— I cóż?

— Opatrzył pieczęci, taj sobie pojechał...

— A Konrada nie poznał?

— Cóżby miał poznać!... Wun jemu nie laźł na oczy, a tylko się ja z nim rozmówił... Moskał się rozkrzyczał, ale ja jemu gębę zatkał... Dziesięć kierbełech i sza...

Pan Piotr uśmiechnął się sam do siebie.

Rozmowa toczyła się w ten sposób, że żyd stał przy drzwiach, przed żydem stała panna Hanna, a reszta towarzystwa przy stoliku siedziała. Panu Piotrowi nie wydało się, aby to było w porządku. Więc rzekł podniesionym głosem:

— Ależ, moja Handziu, zapominasz, że Naftuła przybył z podróży i musi być zfatygowany.

— Ach, prawda! — wykrzyknęła dziewczyna. — Panie Naftuło, prosimy.

Przysunęła krzesło do stolika, obok ojca, i poskoczyła do samowara. Żyd nie dał się dwa razy prosić. Zawinął poły od długiego surduta, zastępującego zakazany przez Moskali kaftan; pozdrowiwszy gospodarstwo usiadł i musnął się dłońmi po skroniach, poprawiając niby pejsy, których nie było z powodu, że mu je reforma moskiewska obcięła. Skutkiem jednakże dawniejszego przyzwyczajenia zdawało mu się, że ma pejsy. Poprawił więc je; czuprynę, z której mu reforma jarmułkę zdjęła, przysunął dłońmi; pokiwał głową i odśmiał się księdzu, który na niego z dobroliwie drwiącym patrzył uśmiechem, odnoszącym się do tych w imaginacji przez żyda posiadanych pejsów i jarmułki. Naftuła to zrozumiał, bo żartobliwie powiedział:

— Nie śmiecie się no ze mnie, dobrodzieju... bo się będę śmiał z was, jak wam rasy popodcinają... Nasz rząd najmiłościwszy i o popach nie zapomni...



KOŚCIÓŁ N. P. MARYI W KRAKOWIE.

— Nie zapomina on i teraz — odrzekł ksiądz. — Ras wprawdzie nie poobeinał, ale za to sumienia w policyjne mundury poubierał...

W tej chwili panna Hanna, podając Naftule szklankę herbaty, przerwała rozmowę zapytaniem:

— Z rumem, czy bez rumu?

— Och! panienko... ja zawsze z rumem... Ja tego trynia samego pić nie mogę...

— A może co do herbaty? bułka?... chleb z masłem?...

— Dziękuję... Może to trefne... Na mnie z jedzeniem Ruchla czeka... Ja do wielmożnych państwa wpadł tylko na moment, ażeby dać znać, że wszystko poszło dobrze, i ażeby zapytać się, gdzie zajechać?

— Do księzęgo lasku...

— Do mojej pasieki — odpowiedzieli razem pan Piotr i ksiądz.

— Ny — rzekł żyd tonem lekkiego zdziwienia — a jestże tam miejsce? Bo to nie szpilka; tego w ul nie schować. Siedmdziesiąt sześć pak... Pięćdziesiąt samych tych... e... tego...

— Flotrowersów — odpowiedział ksiądz.

— Niech będzie jegie i flotrowersów... A na to trzeba miejsca nie mało... A oprócz flotrowersów, są tam jeszcze i flotrowersiki... i...

— Znajdzie się miejsce na wszystko — podchwycił ksiądz — w temniku...

Żyd głową kręcił z oznaką niedowierzania i pytająco spojrzął na pana Piotra.

— Bądź spokojny — odrzekł ten ostatni — ty sam lepszej kryjówki byś nie wynalazł.

— Ny, ny, kiedy tak jegie wielmożny pan mówi, to już ono musi być git...

Popił ze szklanki; lecz natychmiast musiał odpowiadać marszałkowej, która go o Konrada zapytała.

— Zdrow... Taki pogonicz aż miło...

— Czemuż z wami nie przyjechał?

— Czemu?... ny... bo o tem mowy nie było...

— Dobrze zrobił — podchwycił pan Piotr. — To pokazuje, że posiada zaletę, dość u nas rzadką, dotrwania na stanowisku do końca...

— I jabym to samo na jego miejscu zrobiła — dodała panna Hanna, i raka upiekła, gdy się spostrzegła, że ojciec, matka, ksiądz i żyd razem na nią spojrzeli.

— Potrzebaby, żeby ktoś pomógł do znoszenia — rzekł Naftuła — bo to ciężar wielki, a ludzie co wieźli, pomęczeni, i należałoby się w nocy uprzętnąć.

— Potrzebaby dobrać takich, co umieją język trzymać za zębami — rzekł ksiądz.

Nastąpiła krótka narada. Wymieniono kilka nazwisk włościańskich, poczem rozmowa zwróciła się na przedmiot wypadków. Naftuła opowiadał, co słyszał i widział w Galicyi. Marszałek, marszałkowa, ksiądz i panna Hanna

śluchali z natężoną uwagą. Szczególnie ostatnia wydawała swoją postacią całą zajęcie podniesione do najwyższej potęgi. Z czajnikiem w ręku, nachylonym nad szklanką, niby skamieniała; oczy wlepiała w żyda; karminowe usta, z po których przeglądały dwa szeregi perłowych ząbków, w pół otworzyła; oddech w sobie powstrzymywała, i wyglądała jak ręką mistrza ukuty a żywymi barwami ukolorowany posąg zasluchania.

Naftuła rozповідаł. Nagle sam sobie przerwał.

— Nie mam ja czasu... Oni są o milę... Muszę spieszyć do domu, zjeść i na ich spotkanie wyjechać, aby się z wozami po nocy nie kręcili.

To mówiąc, pociągnął ostatni haust ze szklanki, usta dłonią obtarł, wspomnienie pejsów i jarmułki na głowie poprawił, wstał i pożegnawszy obecnych wyszedł. W progu dopędziła go instrukcja marszałka:

— Od krzyża niech się wezmą w lewo a potem na sugłówek, który ich doprowadzi do Babich Kopanek... Niechże do Kopanek nie dojeżdżając, skręcają na dworską sianożęć i ciągną wprost do lasu...

Naftuła z progu wysłuchał słów marszałka, kiwnął głową na znak zrozumienia i znikł za drzwiami.

Pozostali w salonie ciągnęli dalej rozmowę o wypadkach, przeplataną krótkimi, modlitewnymi do Boga odezwaniami pani Zawiejskiej. Niedługo jednakże ta rozmowa trwała. Zakończyło ją odejście księdza, który się z panem Piotrem pożegnał:

— Do widzenia, w pasiece...

Więc się i my do pasieki przeniesiemy.

Leżała ona w uroczysku, zwanem księży lasek. Był to las zajmujący kilkanaście morgów gruntu, formującego schodzące się w głębokim jarze dwie pochyłości, na których brzegami wyrastały dęby, a w głębi inne rodzaje drzew, podszytych leszczyną. W tym lesie, na jednej z pochyłości, rozlegała się nie wielka polana, a na niej wysokim płotem otoczona stała pasieka. Wewnątrz zagrody część jedną zajmowały szeregami ustawione ule, drugą chata pasiecznika z szopą obok, pod którą znajdowały się drzwiczki, prowadzące niby do piwnicy. Był to temnik, służący do przechowywania pszczoł przez zimę. Szopa służyła za skład na ule i za warstat dla pasiecznika, który się trudził obok swego rzemiosła, wierceniem ulów i struganiem obręczy. Odległość pasieki od dworu nie przenosiła wiorst trzech; była to więc odległość spacerowa; spacerowa z tego jeszcze powodu, że droga, prowadząca z dworu do księzęgo lasku, przechodziła krawędzią jaru, przedstawiającego malownicze widoki. Sama ta droga była ścieżką, a raczej sugłówkiem. Nie jeżdżono tamtędy. Księży lasek leżał w ustroni i był sam ustronią, cichą, spokojną, uspo-

sabiającą do odpoczywania i dumania, jakby umyślnie na cel przechadzek stworzoną.

Było też tam zazwyczaj cicho i spokojnie; chyba tylko wiatr szumiał, chyba dzieciół kołatał i wilga pogwizdywała, chyba dochodziło bicie przepiórki z pobliskiego łąnu, chyba pies pasiecznika zagrodę oszczekiwał.

Pasiecznik szedł spać razem z ptakami.

W dniu jednakże, w którym miała miejsce w Lityńcach opisana powyżej herbata, słońce zaszło, ptaki się do snu ułożyły, a dziad zamiast się położyć pod lipą, pod szopą, lub w chacie na tapczanie, usiadł na przyzbie, na kolanach łokcie oparł i w takiej pozycyi pozostał. Zciemniało, on się ani ruszył. Zdumiony Bosa położył się przed nim, i wyciągnawszy łeb na przednich łapach, ogonem ziemię zamiatał a oczami oczów pana szukał. Lecz oczów dziada dostrzedz nie mógł z powodu ciemności, jaka w noc bezksiężycową w lesie panowała.

Nagle zawarczał.

— Tsss — syknął dziad i ucho nastawił.

Następnie spojrzął na niebo, na kwoczkę i wóz, i rzekł sam do siebie:

— Północ nie daleka...

Pies zawarczał znów, mocniej aniżeli poprzednio, i zerwał się. Dziad krzyknął groźnie:

— Bosa!... a zasię!...

Ujął go za kark, postąpił kilka kroków i pod szopę cisnął. Pies się skulił, zaskomlił, ogon wziął pod siebie, i za kupą próżnych ulów w kącie wcisnął. W tej chwili słyszeć się dało pianie wiejskich kogutów, i wraz z tem rozległ się odgłos chodu ludzi kupą idących.

— Wony — mruknął dziad sam do siebie.

I nie omylił się. Kupa zatrzymała się przed wrotami, a z niej wydzielił się jeden człowiek, podszedł do dziada i pozdrowił go zwykłym:

— Pomahaj Bih... —

Na co otrzymał zwykłą odpowiedź:

— Daj Boże zdorowla...

i zapytanie:

— To wy, wielmożny panie? A ja się was nie spodziewałem... Dobrodziej nie mówili mi, że i wy przyjdziecie.

— Jakżeś ty chciał, aby się bezemnie taka robota obeszła!

I nie wdając się w bliższe tłumaczenie powodów swego przyścia, mówił dalej:

— U ciebie, didu, światła nie ma...

— Kaganek ta łuczywo...

— My tu przynieśli z sobą latarnie i pochodnie. Trzeba do roboty z nocy zrobić dzień... Myślisz, że tu nikogo cudzego nie ma?

— Ta zkażdby się wziął! Na wszelki wypadek, jak słońce zachodziło, obszedłem las do koła, i tylko polowego na łąnie z daleka widziałem.

— On także obchodził i cudzych wypatrywał — wtrącił pan Piotr.

— Jeżeli i on nikogo nie widział, to żadne cudze oko nie będzie nas tej nocy widziało...

— Kiedy tak, to można zaświecić!

To rzekłszy, pan Piotr krzyknął:

— Chłopczy! a dajcie no tu latarnie...

I począł światło ustawiać. Dwie latarnie zawiesił na wrotach, jedną uwiązał do rozbitej przed chatą żerdki, trzy przed szopą, trzy pod szopą, a cztery wniósł do temnika.

Wnętrze temnika nie przedstawiało nic szczególnego. Jama kwadratowa w ziemi wykopana, ze ścianami w zamieć z kłutego drzewa. Szczegółność zaczynała się dopiero za jedną z tych ścian, którą przyprowadzeni przez pana Piotra parobcy rozebrali. Za drzewem pokazał się otwór okrągły, trzy ćwierci łokcia średnicy i parę łokci długości mający. Wchodziło się tam wpełzając. Ten otwór prowadził aż do obszernego podziemia, porządnie z boków i z wierzchu ocembrowanego, z trzema grubymi po środku słupami, podpierającymi belkę, o którą się opierało cymbrowanie sufitu.

Pan Piotr wpełznął tam, obejrzał, uśmiechnął się uśmiechem zadowolenia, zawiesił na belce dwie latarnie, i wylaząc z otworu spotkał się oko w oko z Naftułą, który ciekawie do dziury zaglądał.

— Aj waj! — zawołał żyd w zachwyceniu — toć tu możnaby przed Moskalami schować całą Polskę, aby się ino zmieściła... Ten dobrodziej... ny! ktoby się tego po nim spodziewał!

Patrzył na otwór, cmokał i głową kręcił, macając się co moment po czuprynie, jakby jarmułkę, której nie było, z jednego ucha na drugie przesuwając.

Przez całą noc do świtu było jasno i ludno w popowej pasiece. Jasność biła od latarni, ustawionych przez pana Piotra, i od dwóch pochodni, które zostały zapalone, gdy przed wrotami zatrzymał się długi szereg wozów.

Jedna tu osobliwość jest do zanotowania. Gdy wozy przyciągnęły, pan Piotr stał we wrotach. Na jego twarzy widać było zadowolenie, które zmieniło się nagle w uniesienie radości, gdy przed nim stanął młody parobczak z batogiem w ręku. Parobczak ten był jednym z tych, co przy wozach woły poganiali. Stanął przed panem Piotrem, spojrzeli na siebie i w objęcia się sobie rzucili. Pan Piotr mówił do niego:

— Synu...

— Parobczak do pana Piotra:

— Tatku...

Po zanotowaniu tej osobliwości, nastęrcza się zaraz inna. Na wozach były kufy z wódką, opieczentowane rzą-

dowem pieczęciami. Nic, tylko sama wódka. Odor alkoholowy, otaczający wozy, świadczył dowodnie o jej obecności. Jakoż rzeczywiście wódka to była. Gdy pierwszy wóz na podwórze wjechał i przed temnikiem się zatrzymał, Naftuła podstawił pod kufę cebrzyk, świdrem dziurę w beczce wywiercił, i trysnął strumień płynu, będącego ambrozyą dla naszych biednych chłopów, nie znających, dzięki starszej braci, tak tkliwie umiejącej prozą i wierszami ubolewać nad smutnym stanem „chłopka!“, innej roskoszy nad zalanie pamięci. Ale z ogromnej beczki wypłynęło kilka zaledwie wiader płynu. Wówczas Naftuła kazał dno odbić. W kufie ukazały się dwie podłużne paki, szczelnie spojone i smołą oblane.

— Git — rzekł na ten widok żyd sam do siebie, i zwracając mowę do stojącego obok pana Piotra dodał:

— Nie masz jak spirytus! Do wszystkiego się nadaje... Wąchali Moskale... ny!... i nie wywąchali pak w kufach...

Robota poszła raźnie. Wóz po wozie przed szopę zajeżdżał; Naftuła z każdej kufy wódkę wytaczał i w każdej po odbiciu dna ukazywały się paki, które parobcy, ze wsi przyprowadzeni, wydobywali, do temnika wnosili i przez otwór w ścianie w podsienie wsuwali. W podsieniu pan Piotr drygował ustawianiem pak. Wszystko szło, jak powiadają, jak z płatka; a gdy chłód przedświtaniowy czuć się dał w powietrzu, na drodze przed pasieką stał szereg wozów z próznymi kufami.

— Trzeba gasić światła — rzekł pan Piotr do zgromadzonych pod chatą wieśniaków: — Robota, Bogu dzięki, skończona...

— Nie ze wszystkim jeszcze — odezwał się nagle głos, który wszyscy od razu poznali.

Był to głos proboszcza litynieckiego.

— Nie ze wszystkim jeszcze — mówił ksiądz. — Brak tu jednej rzeczy: bożego słowa... błogosławieństwa, z którym przychodzi...

To mówiąc zrzucił wierzchnie okrycie, i oddał je stojącemu za nim z książką, krzyżem, kropielnicą i kadzielnicą pałamarzowi. Zdjął czapkę, odgarnął włosy, poprawił na sobie stulę, wziął książkę i krzyż, i wszedłszy do temnika, stanął twarzą do otworu i począł głośno czytać modlitwę. Po odczycaniu modlitwy kadził i kropił. Wieśniacy z pochylonemi kornie głowami otaczali księdza

i żegnając się całowali krzyż, który on im w końcu do całowania podał, zaczynając kolej od pana Piotra.

— Teraz dopiero robota skończona — przemówił w ostatku ksiądz — skończona błogosławieństwem bożem, które na niej spoczęło, a które dlatego spłynęło, bracia moi, że my, dzieci tej samej matki ziemi, żyjemy jak Bóg przykazał, w rodzinnej miłości i zgodzie... My tu wszystko sami swoi... Oto Lachy — tu ukazał krzyżem na pana Piotra i na stojącego obok niego parobczaka; — oto Rusiny — tu powiódł krzyżem nad całą kupą; — oto tam żyd — tu skinął ku Naftule; — a oto tu ja, wasz ojciec duchowny... Trzymamy się za ręce; jedni drugim pomagamy, i dobrze nam... Bóg błogosławi; bo nie ma pomiędzy nami wroga domowego; bo przeciwko wrogowi cudzemu stoimy gromadą, niby jeden człowiek... człowiek, który ma wszystko, co do stawania przeciwko wrogowi jest potrzebne: i rozum, i siłę, i wybieg, i miłość...

Wymawiając ostatnie wyrazy, ukazywał kolejno na pana Piotra, na chłopów, na Naftulę i na siebie.

— I wielka u nas z tej przyczyny siła — ciągnął dalej — siła, której i bramy piekielne nie przemogą... Siłą tą dokonaliśmy dzieła, za które, gdyby się o niem wróg dowiedział, czekają nas straszne kary... a największe, ich...

Tu ukazał oczami na pana Piotra, i podniosłszy obie ręce krzyż do góry, uroczystym głosem następujące wymówił wyrazy:

— Ale on się nie dowie...

— Gdyby kto słówko pisnął, ten krzyż go niech pobije — odpowiedział jeden z włościan.

— Niech pobije — powtórzyli wszyscy chórem. A chór ten odbił się echem w podsieniu i zabrzmiał tonem dziwnie uroczystym.

Ksiądz kropidło i krzyż pałamarzowi oddał, stulę zdjął, czapkę na głowę włożył i rzekł:

— Teraz robota już skończona... Światła gaśmy, rozchodźmy się i straż nad zaklętym skarbem pozostawmy pszczołom...

Wnet światła pogasły; przez chwilę jeszcze panował ruch, a po chwile zaległa w pasiece cisza, którą wkrótce potem przerwało świergotanie budzących się ptasząt.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kościół N. P. Maryi w Krakowie.

(Obacz rycinę str. 121).

Świątynia ta — powiada śp. sławny nasz archeolog, Ambroży Grabowski, w swoim dziele: „Kraków i jego okolice“ — najpierwsza ze względu okazałej budowy i dawności, należąca do najsmielszych i najpiękniejszych dzieł architektury gotyckiej. Fundował ją w r. 1226 Iwo Odrowąż, biskup krakowski i kan-

clerz Leszka Białego. Nie mało okazałości przydają tej świątyni dwie wieże, z których jedna, zwana wieżą maryacką, jest najwyższą w Krakowie, a może i w całej Polsce, i ztąd dała początek przysłowiu: wysoki jak maryacka wieża. Równie wspaniałem jest wnętrze tego kościoła. Znajduje się

tam ołtarzów z marmuru, a po części i z hebanu, trzydzieści i dwa, a największym z nich i najwspanialszym (acz z drzewa tylko) jest wielki ołtarz, zabytek starodawny snycerstwa z XV. wieku, utwór sławnego rzeźbiarza polskiego Wita Stwosza. Kaplic przepysznych liczy ta świątynia jedynastę, których mury okrywa wiele pięknych pomników grobowych z czarnego i czerwonego marmuru lub z alabastru. Nakoniec bogatym jest ten kościół także w szacowne obrazy, między

którymi odznacza się wielki wizerunek Chrystusa między doktorami, malowany przez Mich. Stachowicza. Bez zaprzeczenia tedy jest kościół N. P. Maryi wspaniałym przybytkiem sztuk pięknych i szanownych pamiątek naszej przeszłości; i nie dziwno zatem, że nawet turyści z sąsiednich krajów, którym nie się u nas nie podoba, nie mogą zaprzeczyć tej świątyni wysokich zalet pod każdym względem.

K r o n i k a

(Kąpiel z krwi ludzkiej) uchodziła tak w starożytności jak i w wiekach średnich za cudowny środek lekarski. Osobliwie w średnich wiekach panowało mniemanie, że kąpielą z świeżej krwi niemowląt i dziewic można nie tylko uleczyć najokropniejszą ze wszystkich chorób—traud, ale także odmłodzić ciało i przedłużyć życie. Niezliczone okrucieństwa były skutkiem tego przesądu, a do jakiej zbrodni doprowadzał on nieraz, świadczy następujące podanie, wyjęte ze starej kroniki węgierskiej.

Około roku 1610 żyła na zamku Csejta w Siedmiogrodzie Elżbieta Batory, żona potężnego i bogatego renegata węgierskiego. Podobnie jak inne domy wysokiego rodu, trzymała ona na dworze swoim liczny orszak młodych dziewcząt, po największej części córki ubogiej szlachty, które pełniły usługi tak zwanych panien respektowych i towarzyszek, za co otrzymywały odpowiednie wychowanie i posag, jeżeli wychodziły za mąż. Elżbieta była barzo złośliwą i okrutną, i najmniejsze przekroczenie panien karała w sposób najdotkliwszy.

Pewnego dnia, przeglądając w zwierciadle wędniejące wdzięki swoje, wpadła z powodu tego niemilego odkrycia w taką złość, że stojącą obok siebie pannę za jakieś małe przewinienie uderzyła ręką w twarz z całej siły. Dziewczyńnię chlusnęła krew z nosa i obryzgała rękę okrutnej władczyni. A gdy potem Elżbieta otarła rękę, uroilo jej się, że ta część skóry, na której krew była, stała się delikatniejszą i bielszą, a nawet że odmłodziła niejako. Zarażona przesądem ówczesnym sądziła tedy, że we krwi dziewic odkryła źródło wiecznej młodości i piękności. Zaledwie ta okropna myśl wyległa się w jej głowie, zaczęła też myśleć zaraz o jej wykonaniu. U stóp skały, na której stał zamek Csejta, znajdował się mały domek, zamieszkały przez dwie stare baby, a połączony z zamkiem podziemnym przejściem, o którym tylko kilka osób wiedziało, gdyż służyło ono tylko ku ochronie w razie niebezpieczeństwa. Otóż przy pomocy tych dwóch czarownic i dozorey zamku zawlekła ona nieszczęśliwą dziewczynę do tego domku, zamordowała ją tam i wykąpała się w krwi jej. Ta pierwsza próba utwierdziła ją jeszcze bardziej w nieszczęsnem jej urojeniu, i odtąd w ten sam sposób padały dziewczęta ofiarą jedna za drugą. Rzeź ta trwała przez kilka lat, i jak niesie podanie—zginęło do sto dziewcząt z ręki tej okrutnicy. Niepójete zniknięcie tylu młodych dziewcząt nie mogło naturalnie pozostać tajemnicą; w kraju panowało z tego powodu największe przerażenie, ale nikomu ani na myśl nie przyszło, posądzać o to właści-

cielkę zamku; przypuszczano powszechnie, że zapewne jakaś banda złoczyńców porwała te dziewczęta i sprzedała Turkom. Aż w końcu wyszła na jaw okropna prawda. Pomiędzy ofiarami Elżbiety znajdowała się także pewna piękna dziewczica, zaręczona z młodym szlachcicem z sąsiedzwa. Pełen rozpacz po utracie swojej narzeczonej szukał tenże jej śladów z taką gorliwością i wytrwałością, że pomimo największej ostrożności morderczyni udało mu się w końcu odkryć krwawą tajemnicę tego zamku. Nie tracąc wtedy ani chwili czasu pospieszył do Preszburga i opowiedział rzecz całą Palatynowi; a gdy w skutek tego oskarżenia Palatyn natychmiast sam udał się do Csejty, znalazł w owym domku ciepłe jeszcze ciało świeżej ofiary, którą właśnie przed chwilą zamordowano. Winowajców uwięziono zaraz i ukarano; ale kara Elżbiety była zanadto łagodna, gdyż skazano ją tylko na dożywotne więzienie; jej współwinowajców zaś spalono na stosie. Podanie to mają potwierdzać dokumenta; a i ruiny zamku Csejty istnieją jeszcze.

(Czy jest życie na księżycu?) Czyli i przez jakiego rodzaju istoty może być zamieszkanym nasz księżyc, o tem nie może rozum ludzki orzekać z pewnością, lecz musi już z natury rzeczy gubić się w samych tylko domysłach i przypuszczeniach. Mieszkaniec ziemi, zamknięty w swoich koniecznych i niezmiennych warunkach istnienia, nie może nigdzie przypuszczać życia inaczej, jak tylko w tych samych warunkach, i od ich też dostrzeżenia lub niedostrzeżenia na innych planetach musi zależeć jego sąd o zamieszkalności tych ciał niebieskich. Księżyc, jako najbliższe z tych ciał naszej ziemi, był od wieków i będzie zawsze przedmiotem najgorliwszych badań naszej astronomii, i z tego więc, co dotąd na nim dostrzedz się udało, wypada podług miary rozumu ziemskiego oświadczyć się za niepodobieństwem istnienia jakiegokolwiek życia na tej planecie.

Mianowicie utwierdzają to przypuszczenie najmocniej najnowsze badania astronomów co do temperatury księżycowej. Ażeby tę jak najdokładniej oznaczyć, starano się w najnowszych czasach wy badać, ile ciepła zawiera w sobie światło księżycowe; i sławny astronom angielski, Lord Rosse, obliczył za pomocą swojego termometru elektrycznego, że księżyc właśnie tyle dosyła nam ciepła, ile dawałaby rozpalona do 360° płyta metalowa z takiego samego oddalenia jak księżyc od ziemi. Z tego więc wypływa, że wtedy, gdy słońce całą siłą swoją oświeca księżyc, dochodzi temperatura oświeconej półkuli jego do 400° gorąca, gdy przeciwnie na odwrotnej półkuli spada

podług obliczeń Harrisona 90° niżej zera. Zatem po jednej stronie upał, jakiego potrzeba do stopienia łożu i cyny, po drugiej zaś zimno, które rtęć zamraza. Po jednej stronie potrzebaby się ugotować lub upiec, po drugiej zamrażać; taki los spotkałby każdą istotę żyjącą na księżycu.

Prócz tego przemawiają za tym wnioskiem także inne badania astronomiczne, które dowodzą, że księżyc nie ma istotnie żadnej atmosfery, bo gdyby miał taką, któraby rozdzielała ciepło w równej mierze na wszystkie strefy, nie dochodziłyby klimatyczne stosunki jego do takich ostateczności. Jeżeli zważymy, jakie burze sprowadza kilkostopniowa tylko różnica temperatury w atmosferze ziemskiej, to można wyobrazić sobie, co by się musiało dziać na księżycu, gdyby istotnie miał jaką atmosferę. W czasie pierwszej kwadry otulałby się nasz satelita w gęste, powierzchnię jego całkiem zasłaniające chmury, gdy przeciwnie podczas ostatniej kwadry, kiedy temperatura jego dochodzi do najwyższego stopnia, musiałaby go otaczać całkiem spokojna i pogodna atmosfera. Taka zmiana jednak nie następuje wcale.

Z tego wszystkiego zatem wypadałoby wnosić, że księżyc jest ciałem niebieskim, które się już przeżyło, którego rozwój organiczny dawno się już skończył. Na podstawie najwowszych badań można wprawdzie przypuszczać z największym podobieństwem do prawdy, że nasz satelita był niegdyś zamieszkały, ale umarł, jak kiedyś umrze nasza ziemia. Jestto olbrzymi cmentarz, uroczysko niezliczonych pokoleń całego jakiegos świata, pogrzebanego w kamieniu, który wypala dziś słońce swojemi promieniami! A owe łagodne, melancholiczne światło, które z wieczora połyskuje nam z głębi empireju, jest jedynym pozostałym świadkiem zgasłej na zawsze wspaniałości, jedynym węzłem, łączącym przeszłość z terażniejszością. Tak rozumuje mądrość ludzka; ale gdzież pewność, że się nie myli?!

(Olbrzymie owoce Nowego świata.) Wychodzący w Wiktorji (w Australji) dziennik *Mansfield Independent* pisze: „Największe ziemniaki na ziemi znajdują się bez wątpienia u nas. Mr. Gamble, który z nadwyzajną gorliwością i zręcznością zarządza wzorowem gospodarstwem Mra. Shenery pod Springfield, przybył tymi dniami do naszego bióra, by nam pokazać ziemniaki nadwyzajnej wielkości. Równały się one wielkością potężnym melonom i ważyły każdy przeszło 5 funtów, a przytem są zupełnie zdrowe i bardzo smaczne. Mr. Gamble zebrał tego roku do 30 beczek (beczka, 2000 funtów) takich olbrzymich ziemniaków, z których każdy mniej więcej ma tę samą wagę“.

List zaś z San Francisco, który dzięki kolei Cichego Oceanu dostał się w 19 dniach do Europy, donosi: W naszym kraju, który w olbrzymiej Sekwoi posiada największe drzewo na ziemi, rosną już pomarańcze, bawelna, trzcina cukrowa, a teraz także herbata i winogrona, które do 14 funtów ważą. Widziałem nawet cytryny, ważące po 3 funty. Jabłka tak duże, jak głowa 12letniego chłopca, nie są żadną osobliwością. Głowa kapusty, ważąca 15 funtów, nie obudza już wcale zdziwienia na targowicach nowojorskich, odkąd dowozi tam kolej nasze owoce. Można tu widzieć całe łany 20funtowej kapusty, a tu i ówdzie zdarzały się nawet głowy po 45 i 53 funtów. Największa dynia, jaką wydała dotąd Kalifornia — a

nasze dzienniki donoszą regularnie o takich osobliwościach — ważyła 260 funtów, a na pobocznych jej szypułkach wisiały jeszcze owoce po 100 funtów wagi. Największa cebula naszego kraju ważyła 47 uncj przy objętości wynoszącej 22 cali; a trzyletni burak, ważący 118 funtów, miał 5 stóp długości a stopę grubości. Marchew waży po 10 a ziemniaki po 23 funtów. Dodajmyż do tego klosy żyta wysokie do 22 stóp, tak że jeźdźca z koniem zakryją, tudzież dwuletnie jabłonie, obwieszane olbrzymiemi owocami, — a słusznie możemy Kalifornię nazwać krajem błogosławionym.

(Modlitwa o zręczność.) Na dniu 6. września obchodzoną bywa co roku w Chinach uroczystość zwana *Chitschis-io* t. j. modlitwa o zręczność. W nocy tego dnia, w siódnym miesiącu podług kalendarza chińskiego, przyrządzają kobiety i dziewczęta w rodzinie siedm dyń i siedm owoców, siedm filiżanek i siedm garnuszków z kadzidłem, zasiadają około tego w kuczki, i wzięwszy do rąk siedm jedwabnych nitok starają się nawlec jak najprędzej siedm igieł przy blasku palącego się kawałku papieru. Ilość igieł, nawleczonych w ciągu tej chwili, jak się pali papier, jest miarą zręczności i dzielności kobiety w wypełnianiu obowiązków domowych. Prócz tego łowią kobiety i dziewczęta tej nocy pająki i zamykają je aż do rana w pudełkach. Jeżeli w ciągu tego czasu usuje który z pajaków siatkę, ma to być pewnym znakiem, że bóstwo wysłuchało prośby szczęśliwej właścicielki pudełka o udzielenie jej zręczności i biegłości.

(Zbytek teatralny u dawnych Rzymian) Dziwimy się przepychowi i kosztowności, z jakimi wystawiane bywają teraz batety i wielkie opery. Ale cóż to znaczy w porównaniu ze zbytkiem teatralnym dawnych Rzymian? Już same gmachy teatralne bywały przyrządzane z bajecznym prawie przepychem. Tak np. wznosił budowniczy, M. Scaurus, teatr przeznaczony tylko na cztery tygodnie, który był wysoki na trzy piętra, ozdobiony trzema tysiącami spiżowych posągów, i obejmował 80,000 ludzi. Trybun *Scribones Curio* zbudował dwa półokrągłe, odwrócone od siebie teatra drewniane, które według upodobania mogły być łączone z sobą i tworzyły wtedy jeden wielki amfiteatr okrągły. Od słońca chroniły widzów porozpinane u góry zasłony z jedwabnych, purpurowych i złotem przetykanych materyj. Pompeusz zbudował pierwszy teatr kamienny, który mieścił w sobie 40,000 ludzi. Zamożni Rzymianie, ażeby przypodobać się ludowi, budowali takie olbrzymie teatra i zdobili je z niesłychaną rozrzutnością posągami, obrazami i tapetami. Zbytek ten posuwał się do tego stopnia, że nawet maszyny, używane do przedstawień, kazano obciążać srebrem; a Pompeusz kazał na jednym z takich widowisk, ażeby pokazać swoje bogactwa, nosić po scenie z uroczystą procesją 3000 czar złotych, które posiadał. Największym gmachem tego rodzaju, a oraz najwspanialszym było tak zwane Kolosseum w Rzymie, tj. olbrzymi amfiteatr dla igrzysk szermierskich i innych widowisk, w którym mogło pomieścić się wygodnie 90,000 osób, i którego szczątki do dziś dnia jeszcze zdumiewają widza.

(Nowy warunek dla wynajmujących pomieszkania.) Poruszamy tu jedną z najsmutniejszych stron codziennego życia. Do jakiego stopnia wygórowane są dzisiaj

ceny pomieszczeń po miastach, dość powiedzieć, że na przykład za pomieszczenie, które przed kilku laty kosztowało dziesięć złr., dziś płacić trzeba trzy razy tyle. — Jestto więc dziś największy ciężar w gospodarstwie domowym, bo pochłania prawie połowę zarobku lub płacy niższego urzędnika. Przyczynę tego potrzeba bez wątpienia przypisać po części powszechnej drożyznie i zwiększającym się co roku podatkom; ale nie małą też rolę odgrywa przytem chciwość i nieludzkość większej części właścicieli domów. Stało się to już regułą, niejako, że jeżeli podatek od domu powiększony zostanie np. o 50 złr. na rok, to strapiiony właściciel nie tylko rozkłada cały ten ciężar na czynszowników, ale za ten kłopot każe jeszcze sobie dopłacać 100 złr. Bo i czemuż nie korzystać z tak dobrej sposobności, zwłaszcza że tego rodzaju lichwy nie ograniczają żadne przepisy prawne. Ale na tem nie kończy się jeszcze utrapienie tych biednych rodzin, które muszą tak drogo okupywać przytułek po obcych kątach. Oto na domiar dobrego pozaprowadzano jeszcze w wielu domach takie warunki wynajmu, że na sto zaledwie jedna partya może im odpowiedzieć. Tak np. nie wynajmują niektórzy właściciele domów pomieszczeń swoich inaczej, tylko kwartalnie; inni nie chcą mieć w domu dzieci, bo sami ich nie mają; inni żądają, ażeby mieszkanię ponosił sam koszt wszelkiej naprawy, a w najnowszym czasie nakoniec wymyślił sobie pewien właściciel domu w Wiedniu jeszcze jeden całkiem oryginalny warunek, ażeby mieszkanię piętrowy, jeśli potrzebuje często wychodzić z domu, dopłacał rocznie pewną kwotę za zużycie schodów! I któżby śmiał utrzymywać, że nie dotrzymujemy kroku cywilizacji? Jesteśmy chrześcianami, nazywamy bliźniego bratem, i zdzieramy z niego skórę — po bratersku. O szacunowa „Spółko budowy domów“, ratujże nas jak najprędzej.

(Wzorowy małżonek.) W przeszłym zeszycie podaliśmy obraz czulej małżonki, ubolewającej wobec męża nad tem, że nie będzie miała gdzie go pochować; a dziś możemy czytelnikom naszym podać przykład nie mniej czulego małżonka, który opowiadają dzienniki francuskie. Pewnemu jegomości w Paryżu umarła zeszłej zimy żona. W smutku pogrążony wdowiec pochował jej drogie zwłoki na cmentarzu „Mont-Par-nasse“, i przy tej sposobności zakupił także dla siebie obok jej grobu kawałek ziemi. Ludzie zwyczajni oznaczają miejsce wiecznego spoczynku pomnikiem kamiennym, albo przynajmniej krzyżem drewnianym; ale nasz wdowiec nie wdawał się w takie drobnostki. Nie postawił pomnika ani krzyża; miejsce, gdzie spoczywają zwłoki kochanej małżonki, oznaczył tylko maleńką deszczuleczką, a na całym kawałku zakupionej ziemi założył ogródek. Ogródek na cmentarzu—to jużcić na kwiaty, cyprysy, itp. żałobne rośliny. Gdzież tam! — to byłoby zanadto pospolicie; jego rozdarłe serce nadało inny wyraz swojemu cierpieniu. Najprzód zasadził kilka grządek sałaty; nieboszczka tak lubiła sałatę! I dlatego brał co niedzielę kilka główek do domu i spożywał je z głębokiem żalem—rozumie się, dodawszy octu i oliwy. Tego pierwszego owocu żalu nie dostrzegł dozorca cmentarza; ale po jakimś czasie pokazała się na mogilniku delikatna, czerwona rzodkiewka. Ach, i tę lubiła nieboszczka tak bardzo! Teraz wpadł już dozorca cmentarza w oczy ten przemysł żałobny, ale na razie milczał on jeszcze,

gdy naraz zeszłej jesieni spostrzegł na tem samym miejscu dwa olbrzymie melony i kilka arbuźów, wyzierających z pod szerokich liści. Tego było już zanadto, i proszono przeto czulego wdowca bardzo grzecznie ale stanowczo, by nie odwiedzał więcej cmentarza. Napróżno zapewniał biedak, że tę jarzynę, wyhodowaną na grobie swojej nieodżałowanej małżonki, cenil bardzo wysoko i z szczególną spożywał przyjemnością, ponieważ zdawało mu się zawsze, że to najdroższa nieboszczka przysłała mu te przysmaki; ogródek jego żałobny rodzi już tylko chwast i trawę, a pamięć swojej drogiej małżonki musi on czcić teraz kupowaną sałatą!

(Tegoroczna zima.) Niepamiętne od dawna mrozy tegoroczne zawdzięczała Europa — jak zawdzięcza wiele innych przyjemności — białorodnej Moskwie; jak dowodzą bowiem spostrzeżenia meteorologiczne, wyszły pierwsze mrozy z głębi Rosyi i posuwały się w równej mierze na Zachód i na Południe. Najwyższy stopień osiągnął mróz na dniu 6. lutego, i stan termometru był tego dnia w rozmaitych miastach europejskich następujący: W Czerniowcach 34°, we Lwowie 29°, w Klausenburgu 27°; dalej następowały: Królewiec (—22°), Kraków i Moskwa (—21°), Petersburg, Wiedeń i Wrocław (—20°), Poznań (—19°), Wiesbaden i Sztokholm (—6°), Zagrabie (—5°), Kolonia (—1½°); w Konstantynopolu stał termometr na 0, w Paryżu pokazywał 1°, w Brukseli nawet 4° ciepła. Liczne zjawiska na niebie towarzyszyły tym mrozom, jako to, rzadkie światło zodyakalne, tudzież zorze północne i meteory. W wielu miejscach pękała ziemia z hukiem. Wpływ zimna na świat organiczny był także bardzo znaczny. Na polach i po lasach zrzuciły mrozy ogromne szkody. Dziczyzna, inne zwierzęta i ptaki zostały zdziesiątkowane głodem i zimnem; a nawet w dobrze zaopatrzonych stajniach i oborach ucierpiałoby wiele bydło domowe. A cóż dopiero wycierpieli ludzie! Przeszło kilkaset osób padło ofiarą mrozów; a któż policzy tysiące odmrożonych członków, i tych, których nie tylko zimno, ale i głód powaliły na łoża słabości?

(Ironia losu.) Właściwy odkryciel pokładów złota w Kalifornii, J. W. Marshall, który pierwszy przy kopaniu rowu pod młynem Suttera znalazł kawał złota, żyje teraz w wielkiej nędzy w Kelseys-Diggins w Eldorado County. Ma on dziś przeszło pięćdziesiąt lat, a musi jak pospolity wyrobnik ciężko pracować na swoje utrzymanie, gdy tymczasem tysiące innych stało się milionerami przez jego odkrycie. Słychać jednak, że kopacze złota w Kalifornii zamierzają zrobić dla niego składkę, ażeby mu zapewnić spokojne utrzymanie na starość.

(Amator zup mimowoli.) Pewien Anglik zwiedzając Paryż, wszedł do restauracji na obiad. Nie umiejąc po francuzku, a nie chcąc się z tem wydać w miejscu publicznym, skinął na garsona i wskazał mu palcem pierwszy wiersz na spisie potraw. Garson skłonił się i wkrótce potem podał M-lordowi zupę z kury. Spożywszy ją wskazał Anglik drugi wiersz na spisie, i natychmiast przyniósł mu usłużny Garson zupę szczawiową.

— Jeszcze raz zupa — mruknął M-lord — może taki zwyczaj w Paryżu — i zjadł ją. Znowu sięgnął do spisu, kładąc palec na trzecim wierszu, i natychmiast stanął przed Jego Wysokością talerz rakowej zupy. Pot wystąpił na czoło gło-

dnemu Anglikowi; ale mimo to z prawdziwą pogardą śmierci zjadł to trzecie wydanie zupy, wskazał czwarty wiersz spisu i otrzymał — zupę ryżową. Wszyscy obecni spoglądali z zadziwieniem na szczególnego amatora zup; ten zaś mruzczał z rozpaczą przez zęby:

— Czy oni myślą, że ja nie mam zębów? Potem wziął jeszcze raz spis do ręki, i aby być już całkiem pewnym, że więcej nie dostanie zupy, wskazał wiersz ostatni.

— No, teraz zjem przecież coś pożywniejszego — myślał i z upragnieniem oczekiwał tego dania. Jakoż zwinął się garson natychmiast i podał mu — paczkę wykluwaczy. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie sprawił ten widok na Milordzie; zbladł, zapłacił i ścigany zdziwionym wzrokiem obecnych wyszedł z restauracyi, przeklinając w duchu Paryż i zwyczaj francuzkie.

HUMORESKA.



— Ale wiesz, kochana Karolciu, ta Emilka, z którą twój mąż miał się żenić, wcale się robi przyjemną, dręczy swego męża i bije swoje dzieci.

— Patrz, jak to dobrze! że Adolf jej nie zaślubił. (Ściskając swoje dzieci.) Biedne dziatki, onaby teraz was tak biła!

Sz ar a d y :

I.

Pierwsze w przyimków rodzinę włożę;
Drugie bez klucza zamykać może;
O obu dziwne mówi przysłowie,
Że zwykł po stratach olej mieć w głowie.

II.

Pierwsze zaimek, a z czwartem w zgodzie
Zda się przy kawie, herbacie, wodzie;
Druga jedzenie ma tu na względzie;
Wszystko w sekretów umieszczę rządzie.